



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor Maryan Gawalewicz.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Po wakacyach.



Powrót z wakacyi, znamionuje zakończenie letniej pory; właściwie *nowy rok* pracy rozpoczyna się w październiku, a dla uczącej się młodzieży z dniem 1-ym września. Jest to pora największego wrażenia i skupienia zarazem. Wszystko, cobyśmy chcieli zmienić, udoskonalić, zapoczątkować, wprowadzić w życie, rozpoczynamy od jesieni. Jakkolwiek się spędziło wakacje, w rozproszeniu czy skupieniu duchowem, myśl o nowej erze usposabia poważnie.

Nie mówiąc już o nauce, ani o pracy zawodowej, bo te swoim trybem pójść muszą, mamy na myśli te rozliczne zajęcia, które kobiety nasze wypełniają sobie życie, które do wiodzą wzrastającej cywilizacyi, kultury i wywołują pewną potrzebę łączenia się, grupowania ku wspólnej pracy i rozrywce.

Z wzmocnionemi siłami, z odświeżonym umysłem, z zapasem zdrowia, rozglądamy się wkoło siebie, myśląc nad najodpowiedniejszym sposobem rozłożenia codziennych zajęć. Widzimy, jak podług upodobania i duchowej dojrzałości, wiążą się kółeczka w pewne ogniewa, tworzące łańcuch prac i zabaw. Zaczawszy od tennisa, gimnastyki, lekcji śpiewu czy tańca, rysunków, malowania, rzeźby, wypalania, robótek, skończywszy na zbiorowych kursach naukowych i artystycznych, wsze-

dzie ruch i życie kipiące. Czy nauka historii i literatury, czy też wprost nauka języków poszczególnych, wszystko jest do zrobienia i nabycia. Jakże może uprzyjemnić zimowe wieczory, naukowy odczyt o danym przedmiocie, lub lepiej jeszcze szereg odczytów, które nas wtajemniczą w dany przedmiot i rzucą światło czy to na ciemną dla nas epokę, czy na ludzi nieznanych. To są rozkosze szlachetne, a tak łatwe do zdobycia, że naprawdę dziwić się trzeba, czemu tak mało ludzi z nich korzysta. Doprowadzenie specjalności jakiegokolwiek do doskonałości, to połowa szczęścia. Co do przyjemności rozumnie zorganizowanych panuje fałszywe przekonanie, że ich u nas zawiele. Dopiero się rozwija pewne upodobanie do sportów i oficjalna zabawa do niedawna, ograniczała się do kilku zabaw tanecznych w karnawale. Tymczasem, zaczawszy od wspólnych czytań przy robocie, a skończywszy na wycieczkach w piękne okolice kraju, wszystko zaciekawia i rozszerza horyzont wiadomości i wrażeń. Można sobie wyobrazić, jak miłem wspomnieniem na całe życie będzie dla młodej panienki, jeżeli w sympatycznym gronie czy krewnych, czy koleżanek, z rodzicami lub nauczycielką odbędzie małą wycieczkę na poznanie Krakowa lub Wilna, Tatrów lub brzegów Bałtyckiego morza! To wszystko teraz tak bardzo ułatwione! Pamiętam, że zdziwioną zostałam, w Szwajcaryi szczególnie, tak wielu spotykając turystów, rozmaitego wieku i stanu. Od drobnych dzieci poczynawszy, a skończywszy na

zupełnych staruszkach, wszystko wesole, różne praktycznie przybrane w podróżne szaty, zaopatrzone w przybory podróżne, rozlewa się poprostu po górach, po jeziorach. Piechotą, konno, na łódkach, na statkach parowych, koleją, na bityklach i samochodach, dążą ludzie po swoją częśćkę rozkoszy i przyjemności. U niektórych podróż nie potrwa jednej niedzieli, u drugich tygodnia, ale wszyscy używają radośnie chwil wolnych i słonecznych. Taka umiejętność *używania*, jest wielkim talentem, za pomocą którego ozlaca się nawet szara dola powszedniości. Jakież to rozkoszne chwile można sobie zdobyć, bez wielkich zachodów i kosztów!...

Nie jeden się znudzi, wlokąc zmęczone kroki po muzeach sztuki, a drugi wybornie się zabawi i ucztę artystyczną sobie sprawi, przeglądając albumy reprodukcji arcydzieł. Toż samo da się powiedzieć o muzyce zbiorowej, zastępującej koncerty, o wspólnych czytaniach i deklamacyach, zastępujących teatr i t. p., o bezpretensjonalnych zabawach, zastępujących kosztowne bale karnawałowe. Tak więc nauka, jak zabawa, muszą być zorganizowane umiejętnie, by korzystać i przyjemność zapewnić.

Życie towarzyskie ma swój wielki urok, jeżeli gromadzi w pewne koła ludzi sympatyzujących z sobą i mających pokrewne pojęcia o rzeczach i warunkach bytu, wspólne ideały i wspólne cele.

Czas teraz pomówić o *filantropii*, odgrywającej ważną rolę w życiu uspołecznionych ko-

biet; ona najściślej jednoczy pracujących na polu miłosierdzia — a jest tak wiele do zrobienia na tem polu! Powierzchniennie sądzący ludzie nieraz potępiają lub wysmiewają osoby, oddane pełnieniu dobrych uczynków. Zarzuty bywają zwykle nader błahe. A to, że na sesjach szerzą się tylko plotki, lub że celem ich popis toaletowy etc. Tymczasem *sessye* potrzebne dla *porozumiewania się wzajemnego*, dla *naradzania się* nad pewnym przedmiotem... jakże się więc bez nich obejść? Skutki dobrze zorganizowanej filantropii bywają prawdziwie wielkie i każdej z nas obowiązkiem koniecznym, ofiarować trochę czasu i pieniędzy na cele dobroczynne. Potrzeby są tak wielkie i pilne, że spieszyć się trzeba, jak się spieszą np. mularze przy budowaniu gmachu; kto chce gmach budować, ten musi pracować wytrwale. Pod jakąkolwiek zaciągniesz się chorągiew, trzeba, byś się zabrała do pracy, niewiasto i młoda, i stara! Niema wieku, ni położenia, gdzieby kobiety nie mogły być użytecznymi. Nieraz z boleścią patrzy się na staruszki, pędzące dni w bezczynności i żalobie. A toż one mogą dać ulgę i pociechę tylu nieszczęśliwym, nauczyć nieumiejętnych. A cóż dopiero mówić o młodych siłach, których obowiązkiem stanąć do roboty. Na polu miłosierdzia każdy może ogromne oddawać usługi, choćby najdrobniejszymi usiłowaniami. Im więcej to będą *osobiste* starania i stosunki, łączące opiekunki z potrzebującymi opieki, tem rezultat pewniejszy i czyn bardziej chrześcijański. Sposobów pełnienia miłosierdzia nie narzuca się nikomu. Jedni ofiarowują pieniądze, drudzy czas swój i osobę. Jedni łączą się w wspólnej pracy, z drugimi dzielą trudy i pełniąc wskazane obowiązki, drudzy sami lubią wyszukiwać nędzę.

Że błogosławione są skutki miłosierdzia, wie o tem każdy, kto się pielegnowaniu ubogich poświęca, kto ubogich przyodziewa, głodnych karmi, chorych odwiedza według Chrystusowego przykazania, kto nieumiejętnych naucza. Opieka serc gorących cuda czyni. Rzeczywistość ulgi okazuje się dobitnie, gdy widzimy np., że dzieci opuszczone dostały się do szkółki, że kalekom umożliwiona praca, a beznadziejnie chorym dano schronienie i przytułek, że pozbawieni środków, dostali się do urzędu lub warsztatu. Jedna maszyna do szycia stanowi o utrzymaniu całej rodziny; otworzony kram lub sklepik, o losie nieszczęśliwych! Dlatego nie można dość gorącemi słowy zachęcać, by każda kobieta, w jednym kierunku wzięła na siebie obowiązek miłosierdzia do spełnienia. Najlepszymi są instytucje, ułatwiające pracę i zarobkowanie, jak szwalnie, fabryki kapeluszy, pudełek, koronek, szkoły rzemiosł. Zakładanie ich, to oczywiście nieocenione zasługi pań opiekunek, dopomagających potrzebującym pracy; ochrony, szkółki, żłobki także potrafią przywiązać do dziatwy. Nad szpitalami za mało u nas opieki, zagranicą więcej czynią. Gdyby nawet jaknajlepiej były zorganizowane, to jeszcze opieka zzewnątrz przychodząca może się nieźmiernie przyczynić do ożywienia i podniesienia ducha. Książki, gazety, powinno się rozdawać tym biednym opuszczonym, znużającym się i potrzebującym zapomnienia o bólu i nędzy. Niektóre szpitale mają swoje

biblioteki, ale trzeba by je odświeżać i wzbogacać, a zwyczaj utrzymywania skrzynek do gazet, z przeznaczeniem dla szpitali, istniejący w niektórych miastach, jest bardzo piękny! Wiem, że w Warszawie istnieje nie mniej budujący przykład opieki *dzieci* nad szpitalikiem dziecięcym; przysyłają książki i zabawki dla chorych. Jakże chrześcijańską i pedagogiczną jest ta zasada, wpajana za młodu w serca młodzieży, że pamiętać trzeba o biedniejszych, że „raczej biednych zabraknie, aniżeli chleba, jeśli wszyscy pełnić będziemy obowiązki nasze.“

Tak więc życzymy naszym drogim czytelnikom wiele przyjemności z tym rozpoczynającym się nowym rokiem pracy! Życzymy, by krzepko i raźnie, zabrały się do roboty, by spełniły się zamiary, przedsięwzięcia nowe, by dawne a dobre przeprowadzały z wytrwałością. Ta epoka wytechnienia, to skąpanie się w powietrzu, w słońcu, na to była dana, by z nowymi siłami stanąć u pługa. Co jest do zrobienia dla kształcenia własnego umysłu, zdolności i talentów, to dla drugich uczynić możemy; wszystko obejmijmy wzrokiem jasnym i zakreślmy sobie, jako obowiązek na *ten rok* do spełnienia!... Takie krótkie mety są o tyle dobre, że ułatwiają kontrolę nad samym sobą i naglą poniekąd do pośpiechu. Przypuśćmy, że ktoś sobie założył poznanie Szekspira czy Słowackiego, Beethovena czy Chopina z większą dokładnością, tak, jak się postanawia zwiedzenie pięknych tatrzańskich lub alpejskich szczytów. Lub znowu ktoś inny przedsięwzięcie naukę kroju, szycia, haftu lub rysunku, albo naukę języka obcego; np. angielskiego, włoskiego — będą ci wszyscy ochotnicy bardzo się spieszyli, by dany termin wyzyskać. Żalą się powszechnie na trudność dostawiania nowych książek. Dalejże organizować się w kółka mniej więcej dobrane stopniem wykształcenia, upodobań, sfery umysłowej, zakupywać nowości za wzajemną radą; przeczytać je i znowu wspólnymi siłami, a więc małym kosztem, nabywać inne, tworząc w ten sposób ruchomą biblioteczkę, wzbogacającą się ciągle. Rzecz znana i praktykowana, ale nie wszędzie, więc radę podaję, chcąc sobie zaskarbić wdzięczność tych stron, na prowincyi zwłaszcza, gdzie tego zwyczaju jeszcze nie było, a gdzie czytelnie odległe lub mało zaopatrzone w duplikaty; gdy się bowiem pojawi dobra książka, pragnęliby ją poznać wszyscy od razu.

A jeżeli ośmieliliśmy się podać tych rad kilka, może tak prostych i praktykowanych powszechnie sposobów dobrego użycia czasu, że aż muszą się wydawać zbyt prostymi, niech nas tłómaczy często słyszane słowo o *nudach*... Nic smutniejszego dla oka i dla ucha, jak widok znudzenia, jak skarga na jednostajność życia, gdy tyle jest do roboty na tym Bożym świecie! Może z wielu podanych zamysłów do urzeczywistnienia i prac oczekujących spełnienia, wybieriecie sobie panie coś odpowiedniego usposobieniu i chęciom, to mi wystarczy zupełnie, dlatego kończę słówkiem „Szczęść Boże“ w pracy!

W.

Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

W chwili, gdy miano wynosić z domu trumnę pana Tomasza Nabreskiego, Kanonik rozłożył papier, powierzony mu w dniu śmierci przez nieboszczyka — i zamiast wypowiedzenia mowy, wobec licznego zgromadzenia odczytał co następuje:

„Odchodząc z tego świata w wielkiej ufności w miłosierdzie Boże nad grzeszną duszą moją, żegnam wszystkich moich krzyżem świętym i pocieszajícím słowem: do widzenia!

Zostawiam jedynemu wnukowi mojemu skarby drogie: Babkę jego, aby ją w ciele i miłości chował do końca Jej życia — i ojcowiznę po przodkach w spadku otrzymaną, aby do końca swego życia chronił jej pilnie, i nie naruszoną z kolei dziedzicom swym zostawił po sobie, wraz z przywiązaną do niej świętą puszczyną przekazanych nam przez ojców naszych tradycji.

Pomocnikom moim w pracy, tak domowym, jako i wiejskiej gromadzie, serdecznie dziękuję za życzliwą gorliwość, z jaką wraz ze mną zabiegali około dobra mojego. Tych także oddaję troskliwej pieczy następującego po mnie dziedzica mienia i obyczaju, prosząc tak ich, jak jego, aby szli dalej razem ręką w rękę, a serce z sercem.

Krewnych, przyjaciół, sąsiadów Bogu polecając, proszę o życzliwe wspomnienie. Duchownemu ojcu, Kanonikowi dobrodziejowi, dziękując za starania około mojej duszy, upraszam o dalszą o niej w modlitwach pamiętać. Wszystkim, którzy mi kiedykolwiek co złego wyrządzili, z serca odpuszczam. Wszystkich, których sam obraziłem, co się nieraz stać mogło, bom był człowiek grzeszny, krewki a popędliwy — z serdeczną skruchą o przebaczenie błagam.

A gdy Bóg łaskawy udziela mi w tej godzinie przytomnej myśli i jasnego rozeznania, powracam jeszcze na chwilę do spraw doczesnych, ażeby rozporządzić zaoszczędzoną przez długoletnią pracę moją gotowizną.“

Następowało wyliczenie ulokowanych w bankach kapitałów, z których dziedziczący je wnuk miał wypłacać oznaczone hojnie sumy: na msze zaduszne, na parafialny kościół Obrywiński, na zabezpieczenie zasłużonych i opatrzenie ubogich.

Kanonik czytał dalej:

„Przypadającą na mnie część posiadłości ziemskiej, nabytej przezemnie do wspólki z księdzem Kanonikiem we wsi Obrywinie, darowuję na wieczną własność Jerzemu Kalinieckiemu, z tem, aby kolonią, na ziemi tej założyć się mającą, zarządzał według ułożonego planu, i myśl swoją a pragnienie moje doprowadził z Bożą pomocą do pożądaných rezultatów.

Pozostaje mi jeszcze pięćdziesiąt tysięcy rubli z ubezpieczenia na życie, wypłacalnych



przez Towarzystwo natychmiast po mojej śmierci, któremi rozporządzam jak następuje:

Jeżeli Marya Nabrzeska, synowa moja, poradziwszy się macierzyńskiego serca swego, zechce przychylić się do ostatniej prośby mojej — i zezwoli na związek małżeński syna swego z panną Malwiną Kaliniecką, a nie życząc sobie mieszkać nadal w Nabrzeżanach, zapragnie osiedlić się w mieście, — w takim razie wymieniony ów kapitał pięćdziesięciu tysięcy rubli ma przejść na jej zupełną i wyłączną własność. W przeciwnym razie cała ta suma winna być złożoną w banku do końca życia mego wnuka, a później przejść na jego spadkobierców.

Pogrzeb mój odbędzie się według wskazówek, zostawionych przeze mnie księdzu Kanonikowi. Chcę być grzebanym, jako przystoi dla chrześcijanina i gospodarza wiejskiego, z powagą należną świętemu obrzędowi, ale w prostocie należnej grzesznemu ciału. Zamiast mów pochwalnych, przyćmiewających światową pychę pokorę prochu, który w proch się obraca, proszę, aby w stosownej chwili odczytano to moje ostatnie wyznanie: jako stojąc u progu wieczności drżę przed sprawiedliwością Najwyższego Sędziego, ale zarazem ufam mocno w miłosierdzie najlepszego Ojca. Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!”

W uroczystem milczeniu, bez szeptów i zamętu, wyniesiono z domu trumnę i umocowano na karawanie. Trumna była z gładko ociosanych desek dębowych, na wieku zręczna ręka wyrzeźbiła godła — u głowy krzyż i palmy, u nóg klejnot rodzinny poniżej trupiej głowy. Wóz żałobny okryty był całunem czarnym z białym szlakiem z domowej wełny utkanym, pod trumną wiejskie dziewczęta podesłały naręcze ziół wonnych — czombru, macierzanki i ruty, a na trumnie gospodarz najstarszy z wiejskiej gromady położył wieniec — jeden tylko, ale złoty — z kłosów pszenicy i żyta. Trzy pary siwych wółłów ruszyły noga za nogą, zabrzmiął śpiew liczego duchowieństwa, zamigotały niezliczone gromnice, tłum się rozwinął nieprzejrzalnym szeregiem po usypanej jałowcem i jedliną drodze, — i pochód żałobny posunął zwolna ku wiejskiemu cmentarzowi, gdzie w grobowej kaplicy rodziny Nabrzeskich odbyło się długie i solenne nabożeństwo, poczem śmiertelne szczątki pana Tomasza stanęły w krypcie obok przodków, aby tam w zasłużonym spoczynku oczekiwać dnia zmartwychwstania.

Wszyscy bez wyjątku obecni na pogrzebie zostali zaproszeni na stypę. W szopach i stodółach pozastawiano stoły dla drobnej szlachty, dla włościan i ubóstwa. We dworze w dwóch komnatach, dla panów i dla pań oddzielnie, podano obiad posilny, ale krótki i w trunki nie nazbyt obfity, w skutek czego uczta nie przeciągnęła się długo i nie podała sposobności do gwarnych rozmów i wesołegożywienia, które tak często nadają zgromadzeniom pogrzebowym nieprzyzwoitość i gorszący wygląd.

Pan Wielolecki mocno się nudził na takiej niezabawnej stypie, i przed końcem obiadu, wysunawszy się nieznacznie, poszedł zapukać do drzwi pani Mimi, która po powrocie z po-

grzebu, zamknęła się u siebie z migreną i Florentyną.

Publikacya ostatniej woli nieboszczyka podbudziła jego admiracyę dla pięknej wdowy, gdyż nie wątpił, że zmysł praktyczny weźmie w niej górę nad innemi względami — i nie mylił się w istocie: pani Mimi była już w duchu stanowczo zdecydowaną na małżeństwo Zygmunta z Malwą.

Wpuszczony do przybytku, ujrzał bóstwo zanurzone w głęboki fotel w pozie smętnego półomdlenia. Pulchną figurkę opływały grube fałdy żałobnej sukni, ze skłębionej u szyi krepowej czarnej chmury wychylała się twarzyczka, interesującą bladością grubo powleczone, a z pod rozwianych jakby w zaniebaniu kędziorków patrzyły melancholicznie oczy podkrążone i od świeżych łez wilgotne.

— Bywają kobiety — rzekł przyciszonym dyskretnie głosem Wielolecki, pochylając się nad pulchną rączką, — o których niepodobna jest zdecydować, czy ponętniejsze są w balowej tualecie, czy w żałobnych krepach?

Odpowiedziano mu tylko smętym uśmiechem, a panna Florentyna podała krzesło gościowi, poczem wysunęła się do drugiego pokoju.

— Przychodzę z bólem serca pożegnać drogą kuzyneczkę — cedził, siadając, Wielolecki. — Ślub Mewy za tydzień; jutro wyjeżdżam do Krakowa.

— I to już stanowczo wyjazd bezpowrotny? — rzuciła przeciągle piękna pani.

— Niestety — tak!

— Dlaczegoż Niestety? przecie przyjemniej w mieście.

— Naturalnie, — ale tutaj miałem twoje towarzystwo, kuzyneczko droga, bez którego — wierz mi — życie moje nie ma uroku.

— A czy niema sposobu, aby życia nie pozabawiać tego uroku?

— Byłby może — ale nie śmiem próbować...

— Nie lubię mężczyzn nieśmiałych, zwłaszcza, jeżeli są nimi — zbyt długo... Tacy mogą się doczekać, że serce kobiece zrazi się naraz i — zwróci się w inną stronę...

Mówiła z pewną niecierpliwością, znużona tyloletniem oczekiwaniem, a pewniejsza sobie teraz, kiedy jej osoba nabierała materyjalnej także wartości. On patrzył na nią czułem oczyma, a w myśli sprawdzał odrobione już poprzednio arytmetyczne zadanie:

— Jej $50 \times$ moje $35 = 85$; ulokowawszy na 7% uczyni rocznie 5,950... Mało... ale hrabia Wielolecki dosyć goły i hm!... nie dosyć młody, nie bardzo może liczyć na więcej, — chyba wziął jaką dorobkiewiczównę, osobę bez gustu i szyku — pfuj!... A no! Schwamm drüber!...

— Pierwszy to raz — rzekł miękko i głęboko, — pani moja raczy przemawiać do mnie w ten sposób... Od tak dawna pragnąłem jakiejś wskazówki, jakiegoś cienia nadziei — ale kuzyneczka byłaś zawsze dla mnie tak enigmatyczną... A może i w tej chwili jest to tylko okrutna igraszka?...

— Jeżeli bywałam okrutną, to nigdy dla ciebie, niedomyślny kuzynku!... — odrzekła z powłóczysem spojrzaniem.

— A więc myliłem się, myśląc, że uczucia moje nie wzbudzają wzajemności?

— Myliłeś się... — szepnęła.

— I wolno mi myśleć, że są podzielane?

— Wolno!... — rzekła, podając mu rękę, którą on kilkakrotnie ucałował — i zapytał:

— Kiedyż zatem dzień mego szczęścia? mam nadzieję, że natychmiast po ślubie Zygmunta?

— Jeżeli chcesz koniecznie, to może być jeszcze przedtem.

Wielolecki przygryzł wargi. A nuż Zygmunt się rozmyśli, nie ożeni się z Malwą, i zapis starego Nabrzeskiego ominie panią Mimi?

— Kuzyneczko najdroższa — rzekł żywo, — ponieważ megalians twego syna zrobi wrzawę w naszym świecie, wolę, aby ta historia odbyła się pierwaj, zanim stanę się za nią po części odpowiedzialnym w oczach opinii, jako mąż matki Zygmunta.

Pani Mimi wnet skombinowała, o co naprawdę idzie Wieloleckiemu; nie wzięła mu jednak tego za złe, rozumiejąc dobrze, że najczulsza miłość nie może zastąpić rzeczy tak niezbędnych, jak na przykład stylowe meble albo łoża w teatrze. Ale na myśl, że Musiowi przejśćby teraz mogła jego ekscentryczna fantazyja, zafrasowała się bardzo, i postanowiła nie zostawiać mu czasu na rozmyślenie się. Rzekła więc stanowczo:

— Małżeństwa Musia nie można odkładać, ze względu na to, że świeża żałoba będzie dobrym pretekstem, aby się to odbyło jak najciszej. Będę więc żądała, aby ślub jego był za sześć tygodni.

— W takim razie nasz ślub za dwa miesiące! — zawołał z zapalem szczęśliwy narzeczon, okrywając znów pocałunkami rękę pięknej wdowy, która przywodziła rozmarzonym głosem:

— Tak... za dwa miesiące...

(Dokończenie nastąpi).



Na zgon Henryka Siemiradzkiego.



Uderzyły złote dzwony
W rozpaczliwy ton,
Leci, płynie w cztery sirony
Pogrzebowy dzwon.

Konie idą w czarnych kapach,
Tłumów ciągnie sznur,
Jakiś smutek wieje groźny
Od tych czarnych piór.

I płacz jakiś przeogromny
Wśród przestworza drży:
To po synu matka — ziemia
Roni swoje łzy.

Hej, czyja to trumna złota
Rzuca snop promieni,
I za kim — to idą ludzie
Tacy zasmuceni?

Komu drżące swoje smugi
Jasne słonko ściele
I dla kogo tyle wieńców
Niosą przyjaciele?

I dla kogo białe róże
Leją cudne wonie
I przed kim-to matka-sztuka
Zalamuje dłonie?

Uderzyły złote dzwony
W rozpaczliwy ton,
Leci, płynie w cztery strony
Pogrzebowy dzwon.

Marmurowe drżą świątynie,
Co zdobyły Rzym,
I z Helleńskich grodów płynie
Balsamiczny dym...

Zeszedł w ziemię mąż genialny,
Sławy syt i chwał,
Który w serca nam najczystsze
Idealny wlał;

Co odtworzył nam na płótnie
Wizye dawnych lat,
I podźwignął na wyżyny
Barw i tonów świat;
Który rozsnuł w naszych duszach
Złotych blasków nić
I obrzucił nas tęczami,
Sercom kazał bić.

Oj, przebiegłeś wielki męzu
Prawie cały świat,
Aż po latach znów wróciłeś
Do rodzinnych chat.
Aż po latach znów wróciłeś
Do kochanych pól.
Gdzieś zostawił swoje serce
I swój pierwszy ból.

I ta szara ziemia-matka,
Z którejś wyssał krew
Da Ci takie słodkie cisze
Szumem swoich drzew.

Zygmunt Różycki.



NASZ KWESTYONARYUSZ PANIEŃSKI.



VII.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytawszy w n-rze 15-ym „Bluszczu” „Słowno o pannach i do panien” postanowiłam, o ile będę umiała, odpowiedzieć na zadane tam pytania.

Stanowisko kobiety w społeczeństwie jest wzniosłem i bardzo trudnem. Ona to wychowuje młode pokolenie, wywiera na ludzi wielki wpływ i od niej przeważnie zależy przyszłość narodów; zatem rola i zadanie panien nie są wcale łatwe, jeżeli one naturalnie chcą swe obowiązki należycie wypełniać.

Jeśli panna jest zamożną i może po skończeniu nauk być w domu rodzicielskim, to mając młodsze rodzeństwo, powinna się niem zajmować, poznać je, być dla nich opiekunką i doradczynią, pomagać rodzicom i domownikom w ich zajęciach. Mieszkając na wsi, może się zająć służącymi, ich dziećmi, o ile możliwości przebywać z nimi i rozwijać je; powin-

na też udać się do Warszawy, na odbywające się tam kursa, obznajmujące panienki ze sposobami leczenia, gdyż to każdej kobiecie, a szczególnie mieszkance wsi, przydać się może. Często wykształceńsza od otaczających ją, niech stara się nie tylko swą wiedzę powiększać, ale i innym przyświecać. Nawet, według mnie, panny bogate nie powinny z bezczynnie założonemi rękoma oczekiwać przybycia dla panien, szczególnie u nas, gdzie tyle jest jeszcze do zdziałania.

Jeżeli panienka czuje, że pozostając w domu, będzie dla rodziny ciężarem, powinna się zająć pracą, najbardziej jej zdolnościom odpowiadającą.

Nauczycielstwo, któremu poświęciłabym się najchętniej, jest jednym z najprzyjemniejszych i najodpowiedniejszych zajęć kobiecych. Nauczycielka nie tylko wpływa na uczennice, lecz i na dom cały, a więc i na rodziców, którzy zwykle mają przeciwnie, niż ich dzieci przekonania.

Znaczna część dawnego pokolenia, przyzwyczajona do wykształcenia bardziej powierzchownego, zadziwiona jest, gdy ich córki mniej dbają o francuszczyznę, muzykę i inne nieodzowne rzeczy przy dawniejszym wychowaniu, lecz starają się o poznanie literatury i nauk przyrodniczych. Gdy jednak nauczycielka wyłómaczy im różnicę między dawnym systemem kształcenia a dzisiejszym, przystają na to często, zdziwieni tą zaszłą zmianą.

Będąc w tem położeniu, że po skończeniu nauk, pobieranych w domu, nadal tam zostanie, chciałabym być użyteczną w mej wiosce rodzinnej. Celem więc moim i ideałem jest: być użyteczną. Ponieważ zaś nie mogę zostać nauczycielką, będę się wkrótce uczyła zajęcia praktycznego, aby mi ono zapewniło utrzymanie.

Nie jestem przeciwniczką małżeństwa, lecz go dla siebie nie pragnę. Chociaż mam siostry zamężne i uważające się za szczęśliwe, nie wiem, czy się zdobędę, aby wstąpić w ich ślady. Dobre i dobrane małżeństwo tak się rzadko spotyka, bo czyż można się poznać przed ślubem? Zdaje mi się, że małżeństwa są wówczas dobrane, gdy mają jednakowe poglądy i przekonania, różnica bowiem usposobień nie jest do tego przeszkodą, ale nawet dobrze jest, gdy małżonkowie mają je odmiennie, bo się nawzajem dopełniają. Kobieta rozumna i łagodna może na męża swego wywierać znaczny wpływ; jest to winą wielu, że o to nie dbają. Powinni się też starać o wzajemne doskonalenie się przez wspólne czytanie i rozmowy! Wychodząc za mąż, należy się dobrze zastanowić, czy uczucie ku człowiekowi, z którym zamierza się na całe życie połączyć, jest głębokiem, opartem nie tylko na miłości, ale na szacunku i ufności, czy też jest uczuciem przelotnem; bo miłość, nawet w małżeństwie zupełnie dobrane, z czasem zniknie, więc winien pozostać wzajemny szacunek i ufność.

Wychodząc za mąż, należy się też dobrze zbadać, czy jest się przygotowaną do obowiązków żony, pani domu i matki; szczególnie do tego panny są zwykle nieprzygotowane, zdaje im się bowiem, że to rzecz tak łatwa, a nie zastanawiają się, że od wychowania dzieci zależy nasza przyszłość. Młode matki wychowują często swe dzieci źle, nie tylko pod względem moralnym, ale i fizycznym.

Przeciwnicy wyższego kształcenia się kobiet, utrzymują, że ono przeszkadza im w wypełnianiu obowiązków; są jednak kobiety, nawet między ludem, nie wypełniające dobrze swej powinności, a te trudno posądzić, iż przyczyną ich zaniedbania jest wyższe wykształcenie. Słyszałam zaś o Polkach, dwóch siostrach, słynnej przyrodnicy oraz o doktorce, które są bardzo troskliwemi matkami

i żonami. Jeżeli kobieta chce i umie wypełniać swe obowiązki, będzie to czyniła bez względu na stanowisko, jakie w społeczeństwie zajmuje.

Wszelka miłość polega na poświęceniu. Czegoż prawdziwie kochająca matka nie uczyni dla swego dziecka? Tak samo i małżonkowie kochający się, niejedno robią dla siebie poświęcenie.

Kobieta powinna pamiętać, iż jest stworzoną na pomocnicę i osłodę męża, nie zaś na to, żeby mu być ciężarem; mąż znów nie powinien być samowładnym panem w domu, lecz czynić wszystko wspólnie z towarzyszką, uważając ją nie tylko za kobietę, ale i za najlepszego przyjaciela.

Gdy mają dzieci, powinni unikać nawet małych sprzeczek wobec nich, bo to osłabia w dzieciach miłość ku rodzicom i daje im od lat najmłodszych złý przykład. Chłopcy, widząc postępowanie ojca z matką, starają się o wykazanie swej wyższości siostrze, oraz ich całej płci.

Szkoły wspólne u nas w pomysłach są bardzo dobre, bo dzieci kształcą się razem, widząc wzajemne usiłowania, nie będą lekceważyły drugiego rodzaju ludzi. Nauka wspólna wytworzyłaby między dziećmi stosunek przyjacielski, i może wówczas, gdyby młodzi żyli bliżej z sobą, nie myślanoby o każdej parze, że jest sobą zajęta. Ustrzegłoby to zapewne młodzież od przelotnych miłości, źle bardzo na obie wpływających strony.

Dużo winię kobiety, bo gdyby one wychowywały synów w mniemaniu, że mężczyznom nie jest więcej dozwolone, niż kobietom, byłoby lepiej i milej na świecie.

Córki należy znów tak chować, żeby się bez mężów obejść mogły; chłopcy bowiem, widząc usiłowania panien w celu zdobycia sobie takowych, stają się dumnymi i zarozumiałymi; nie cenią w kobietach duszy, lecz uważają je za osoby niższe, podrzędniejsze od siebie. Wiele zależy od tych ostatnich, gdyby one inaczej postępowały, starały się wpłynąć na synów i braci, przedstawić im złe, jakie oni czynią nie tylko sobie, kobietom, lecz całemu społeczeństwu, to z czasem moralność stanęłaby wysoko. Czemuż chłopcu, mężczyźnie więcej wybaczymy, niż kobiecie? Gdyby one zamężne czyniły to, co czynią ich mężowie, w znacznej części, cóżby na to powiedział świat?... im zaś tego nikt za złe nie weźmie, bo im wolno, oni są panami, my zaś powinniśmy być pokornymi służkami i nie patrzeć tam, gdzie pan mąż nie chce.

Jeszcze raz powtarzam, że dużo jest winy kobiet w takim ich traktowaniu, niech synów chowają inaczej, a ich córki będą w małżeństwie szczęśliwsze, niż one same.

Stosunek między kobietami a mężczyznami powinien być naturalny, może być nawet serdeczny.

Zapomniałam nadmienić, że po małżeństwie nie spodziewam się szczęścia, lecz tylko różnych nowych obowiązków i że ono jest zawierane w tym celu, aby sobie ludzie w ciężkiej swej doli nawzajem pomagali i o ile możliwem jest, ją umilali.

Co zaś do kierunku literackiego, najbardziej podoba mi się realistyczny: Orzeszkowa, Prus, no i naturalnie Sienkiewicz, którego jednak zmysłowość często mię razi, są moimi ulubionymi pisarzami.

Niemniej gustuję w pozytywistycznym, a szczególnie w Świętochowskim; z nowszych autorów zaś w Żeromskim. Z poetów lirycznych wyróżniam Konopnicką i Oppmana. Z dawniejszych zaś, oprócz trzech naszych geniuszów, lubię bardzo poezję Żmichowskiej, Lenartowicza, Wasilewskiego i Zaleskiego.

Na sztukach pięknych nie znam się wcale; podoba mi się wiele utworów dawniejszych

i obecnych. Matejkę i Grottgera ogromnie lubię.

Mazurka.

Dnia 12-go maja 1902-go r.

VIII.

Szanowny Redaktorze!

Żądasz spowiedzi, a więc dobrze; lecz z góry sobie zastrzegam pobłażliwość i względ na moje nieudolne siły umysłowe. A więc, mam dać wiedzieć o moich pragnieniach, dążeniach i rozumieniu moich obowiązków, o przeznaczeniu kobiety w dzisiejszym świecie społecznym?... W tym zaś społecznym świecie nie mam pola do działania, bo za słabe moje wykształcenie. A światła i wiedzy nieograniczonej pragnę całą duszą i teraz jeszcze wzięłabym się do nauki, aby pójść wysoko, bardzo wysoko, zostać jakim doktorem, profesorem lub czemkolwiek bądź, byle być użyteczną i mieć pole do działania. Ale domowe wykształcenie nie daje mi rękojmi pójścia do wyższych szkół. Odebrałam wszystkie nauki w języku polskim, francuzki i niemiecki posiadam słabo.

Nie zapoznali mnie ze światem, a więc go nie znam, ale nie powiem, abym zasnęła spokojem wsi rodzinnej, przeciwnie, na tle wiejskiej natury duch mój żywiej przyjmuje i rwie się za drugimi, dąży za postępem, jednak nie chcę zapędzać się owczym pędem, wybieram to, co mi jest pożyteczne i co uważam za karm dla duszy odpowiedni.

Czytam wiele, ale to, co mi zostawia pewien smak. Ażeby dać ci wyobrażenie, kochany Redaktorze, o kierunku moich upodobań, muszę powiedzieć, co czytam, jednak długiemby było wyliczanie autorów, znam ich tak wielu, powiem nawet, żaden nie jest mi obcy. Miłośniczką jestem Mickiewicza, Konradowicza, Pola. Konopnicką kocham w jej poezjach. Zachwycona jestem fantazją w powieściach M. Rodziwiczówny. W Przybyszewskiego „Nad morzem“ jestem oczarowaną doborom słów. Kochany Gawalewicz swoimi „Duszami w odlocie“ bardzo rzewnie gra na moich strunach sercowych. Jednak proszę nie myśleć, aby mię poezya porywała, przeciwnie, boję się rozczarować i dlatego dodam tu swego utworu wierszyk:

Kto swej młodości połamawszy skrzydła,
Skierował bieg swój po za oceany,
Próżno się sili — to ułudzeń widma,
Przez życie przejdzie — nie będąc kochany.

A ja przeciwnie chcę być kochaną; dla mnie ognisko domowe, to prawdziwe szczęście, ja chcę kochać i być kochaną, pragnę pracować w cichym zakątku domowego ogniska, które w dzisiejszych czasach tak rzadko się spotyka! Węć też stanowczo za mąż nie wyjdę, bo takiego, w którym duch mój łączności nie znajdzie, nie wybiorę, a dzisiejsza młodzież, z którą się dotąd spotykam, nie odpowiada wymaganiom mojego ducha.

W n-rze 19-ym „Bluszczu“ czytam, że kobiety dlatego tylko wychodzą za mąż, aby rozrzucić pieniądze na stroje i uprawiać flirt. Boże! jakież to smutne, że takie wyobrażenie mają o kobietach, a jednak prawdziwe, ale chyba nie na nich samych leży wina.

Kobieta w swoim zakresie, jakkolwiek on jest, może i powinna zrobić wiele, a więc i my na wsi, nie wychylając się po za jej granicę, mamy wiele do spełnienia. Otoczone gronem naszych podwładnych, chcąc się wywiązać ze swego przeznaczenia, musimy być dla nich matkami, czuwać nad ich zdrowiem, otaczać ich skrzydłami opiekuneczi.

Mało tego, co mówię; zaspokoić ich potrzeby, kierować ich myślą i duchem, — oto jest zakres dzisiejszych moich obowiązków.

Gdy się zestarzeję, wezmę sobie sierotki na wychowanie, i to mi życie wypełni.

Powiadacie: w kobietach leży przyszłość narodu, jest to prawda niezbita, ale jeżeli chodzi o zdanie polskiej panny, to proszę mi powiedzieć, co się stanie z narodem, jeżeli nie będzie oparty na miłości, poświęceniu i kółku rodzinnem? Ale gdy te kółka rodzinne coraz częściej rozbijają się, to z takich jednostek marne społeczeństwo się złoży.

Czyż w tem wina kobiety? stronnie ją sądzę, bo żeby była czysta, jak lza, zawsze na nią wina spadnie.

Ja rozumiem miłość poświęcającą się, a nie zwierzęcą. Naród, który niema rodzin, uważam za niedobitków, — każda jednostka zginąć musi, a zatem zginie i naród.

To jest głos polskiej panny; kocham Boga, rodzinę, społeczeństwo. Ale zbyt ni postępowy, który dąży do upadku duchowego, nie zawsze trafia do mego przekonania.

Teraz, gdy już wszystko powiedziałam, proszę mi powiedzieć, czy dobrze i prawidłowo myślę, czy też jestem na złej drodze?

Dzieci wsi.

IX.

Szanowna Redakcyo!

Zapytania pomieszczone w n-rze 15-ym „Bluszczu“ nasunęły mi myśl uczestniczenia w gronie panien, odpowiadających na nie.

Ponieważ podpis nie jest wymagalnym, mogę więc szczerze odpowiedzieć, jak pojmuję zadanie dzisiejszej kobiety.

Już w ostatnich latach pobytu na pensyi, prowadziłam z koleżankami szereg rozmów na ten temat, a teraz nie jedną chwilę wolną poświęcam rozmyślaniu nad tem, czem jestem, a czem być powinnam.

Minęły czasy, kiedy zadaniem kobiety było wyjść za mąż, być szczęśliwą i innych uszczęśliwiać — oto zdanie ogólne.

Ja powiem, że ten sam cel nasz może jest i teraz, ale może tylko szerzej i lepiej pojmować go trzeba.

Żeby być żoną i matką, na pozór mało trzeba, w rzeczywistości zaś bardzo wiele!

Najpierw o ile możliwości musi dzisiejsza kobieta być wykształconą, musi sama pracować poważnie, by choć ogólnie zdobyła wiadomości wszechstronne, bo bez nauki nie zrozumie zadań życia, nie zrozumie swoich obowiązków, zresztą żona nie może poziomem umysłowym stać niżej od męża. Niech nie będzie doktorem czy adwokatem, ale niech rozumie znaczenie prawa czy medycyny, niech ma ogólne o nich pojęcie, niech nie patrzy na pracę męża swego tylko jak na specjalność, byt mu zapewniającą.

Nauka jest dla niej potrzebną, by mogła wychować dzieci swe na ludzi, by mogła je rozwijać umysłowo i fizycznie! Nauka uchroni ją od przesady i pozowania na emantypkę, gdy nią nie jest, ot, dla mody!

Pannie nauka daje jeszcze cel w życiu i specjalność. Jeśli sama pracować będzie na siebie — da jej byt, jeśli wyjdzie za mąż, da możliwość pomagania mężowi.

Ale sam rozum nie wystarczy człowiekowi w życiu, trzeba mieć serce:

... „Bo bez serca żyć kobiecie, znaczy, martwą być na świecie“ —

nie to serce czułe i szalone, zapalające się na chwilę, ale serce, które kocha wiele, kocha ludzkość, z nią cierpi i z nią się cieszy, kocha kraj i społeczeństwo. Takie serce mieć musi kobieta - Polka, by odczuć wszystkie potrzeby i pożądanja kraju, by zrozumieć swoich braci, by nie idealizować ich, ale kochać takimi, jacy są i jeśli im oczu otworzyć nie można, to nie przyczyniać się do zguby.

Miłością i tkliwością musi być ogrzana praca nasza, bo wtedy najwięcej korzyści ogółowi przyniesie.

Jest jeszcze jedna miłość dla nas otwarta, a tę ludzie różnie pojmują.

Miłość mężczyzny i kobiety, promień rozjaśniający ich życie; miłość ta powinna być opartą na trwałych podstawach: na szacunku i wspólnym rozumieniu się, bo wtedy tylko będzie to miłość rzeczywista i trwała. Szal może jest czasem silny, ale nigdy nie jest trwały. Miłość oparta na szacunku i rozumieniu się, zespala dwie dusze, zbliża je i upodabnia, jest to ogniwo nierozzerwalne, jest to nie szczęście. Wtedy kobieta nie będzie lalką, którą się bawimy, bo ładna i ciekawa, ale będzie towarzyszką, przyjaciółką, będzie szła ręką w rękę z mężem, a życie im nie będzie zabawą, ale poważną walką za swe ideały.

A żyć musi życiem ogółu, by rozumiała: czem jest i co ma za zadanie do spełnienia.

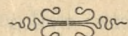
Ale cóż ma robić panna, gdy włożywszy długą suknię, stanie na progu życia?

Uczyć się, uczyć, to nasze zadanie, więc czytać.

Czytać nie beletrystykę, bo ta nie da wiele i musi pozostać tylko rozrywką; czytać poważnie i myśleć nad tem, co się czyta. Musimy czytaniem zapełnić braki w umysłach. bo nie każda może dalej się kształcić. Badać naturę, badać życie i tych, co nas otaczają, dalej sztuki piękne stoją otworem, — kto jest powołany może malować, grać czy pisać, nie uzdolniony musi poprzestać na badaniu obiektywnem. Sztuka to nie specjalność dla jednostek, to strumień, z którego każdy czerpać może. Badanie sztuki daje poznać ludzkość, która ją wytworzyła.

Musimy żyć życiem ogółu, bo należymy do społeczeństwa, musimy z niem isć ręką w rękę, by isć ciągle naprzód, bo kto nie postępuje, ten się cofa!

Laszka.



POGADANKI PEDAGOGICZNE

Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu

Wandy Żeleńskiej.



XIV.

O naukach przyrodniczych. — Praca uczonych i jej owoce.

Na tem się skończyły pogadanki pedagogiczne, ale gdy słuchaczki gorącą zaniósły prośbę, by im o znaczeniu nauk przyrodniczych, powiedziała chociażby słowo, Narcyza Żmichowska określiła doniosłość ich w nauce, w kilku świetnych rysach. Pamiętajmy, że naówczas nauki przyrodnicze nie zajmowały ani w pedagogice, ani w literaturze stanowiska, jakie dziś zajmują.

Nie wiem, czy z kółka słuchaczek Gabryelli, którakolwiek poświęciła się naukom przyrodniczym, sądzę jednak, że wszystkie, dzięki wzniosłemu określeniu ich znaczenia społecznego, potrafią do nich przywiązywać odpowiednią wagę w wychowaniu. Dlatego w zakończeniu umieszczam niektóre uwagi, lubo one już w skład *pedagogicznych pogadanek* nie wchodzi. Miały być owszem rozpoczęciem nowego przedmiotu, który w całości przeprowadzonym nie został.

Nauki przyrodnicze obejmują wszechświat od atomu do nieskończoności, pierwotną zasa-

dą i celem ich Bóg. One prowadzą do poznania praw.

Człowiek snuje swą pracę chwilową, bo na oznaczenie krótkości jego życia, zbyt długiem byłoby trwanie błyskawicy, której istnienia żadną cyfrą arytmetyczną oznaczyć nie można; jeżeli nam się zdaje, że trwa sekundę, to nas myli tylko pamięcią zachowane wrażenie. Życie ludzkie, między dwoma nieśmiertelnościami zaznaczone kolebką i grobem, nie ma wyrażenia czasu trwania, w porównaniu z wiecznością, na określenie stosunku, który jest taki że go oznaczyć nie można, przykłady liczb nieskończonych opisują się znaczkami, w stosunku znaczków,—wszystko, co się liczy na miliony i miliardy, wyraża się przez zera. Czem jest życie ludzkie w porównaniu z zerem?

Otóż człowiek nie byłby nigdy w stanie poznać *wszystkiego*, co go otacza, nie mógłby nawet fizycznie. Stuletnie życie, nieprzerwane niedołęztwem ani chorobą, nie wystarczyłoby na wymienienie nazwisk wszechrzeczy, a cóż dopiero na poznawanie jednej cząstki wszechświata! Nigdyby nie pojął, ani próbował pojąć nieskończoności, ktoby jej nie niósł sam w sobie; naturą więc swą przeczuwa treść ogólną, spowinowacaną niejako z osobistą treścią; *wszystkość* dziedzictwem obejmuje i przekazuje testamentem następnym pokoleniom, pracę własną zaspakajając pracą innych ludzi. Pojedynczy człowiek, jako nieśmiertelny, bada, uczy się. Ludzkość bada również naturę i poznaje ją za pomocą usiłowań jednostek. Człowiek nie może objąć całego ogromu, bierze tylko ogólne rezultaty prac dokonanych, dziedziczy pewną sumę objaśnień, a jeśli objaśnienia te wzbogaci chociażby tylko jednym spostrzeżeniem, to wiele już uczyni. Od pradziada do prawnuków (z ducha nie z krwi!) idą uwagi bez zwiększenia, a nim się zużytecznią przez zastosowanie na korzyść społeczeństwa, to droga daleka! Żeby wiedzieć np. czemu wiatr wieje, trzeba nagromadzonych badań we wszystkich gałęziach, od początku świata zebranych, trzeba było poznać astronomię, fizykę, zebrać mnóstwo pewników i spostrzeżeń.

Z prac różnokierunkowych złożył się prosty pewnik, że wiatr wieje, bo ziemia się obraca, bo na biegunach zimno, a u zwrotnika gorąco; ale aby kiedyś dowiedzieć się, według jakich praw wiatr wieje, trzeba kronik meteorologicznych z całej kuli ziemskiej, przez uczonych układanych drobniaczko, z których może po tysiącu lat dopiero, da się jaka kombinacja wytworzyć; z takich powodów potrzebna jest ta masa szczegółów. Ze spostrzeżeń tworzą się pojęcia, prawa, a nim się atmosferą zawładnie, jak piaskiem na ziemi lub wykopaną gliną, znów długie wieki upłyną, a człowiek swemi atomami spostrzeżeń, powolny lecz pewny postęp przygotowuje. W każdym kierunku czeka praca mozolna. Dla samego rozgatkowania tworów organicznych, potrzebni są ludzie różnych zajęć. Jedni lata, życie całe poświęcają np. łapaniu much, motyli, lub innych owadów; drudzy biorą całą zoologię za przedmiot swoich badań. Z mikroskopijnych prac składa się koło wiadomości ogólnych; do wysledzenia szczegółów, dajmy na to w anatomii, zdarzają się ludzie, którzy młodość z przynależnymi wiekowi temu ucie-

chami, meżkość, powołującą do życia czynnego, starość wreszcie ku wypoczynkowi usposabiającą, oddają pracy, siedząc nad mikroskopem, bez żadnej ręką czy przypadkowo zrobione spostrzeżenia, nowymi i istotnie ważnymi się okazać. Drobiazgowość jest tu nieuniknioną, gdyż małymi iskierkami zdobywa się promień prawdy.

Powiadają, że poetą urodzić się trzeba, a to przeciwnie, poetą *stać się* można, (Alfieri np.), ale naturalistą koniecznie już na świat przyjsz potrzeba. Nauki przyrodnicze pochłaniają duszę, oddać im się trzeba całkowicie, one wprost żyją człowiekiem. Inne nauki dodają życiu pobudek w działaniu, te czynią go niemal odmiennym gatunkiem w ludzkości, fizycznie tamują karierę. Chemik widzi śliczne rzeczy, może dojść do ważnych odkryć drugim użytecznych, ale sam rzadko na nich zarabia. Często życie oddać trzeba na ofiarę, niebezpieczeństwo groźne! Aby się czegoś pewnego dowiedzieć o zorzy północnej np., tysiące ludzi się rozbiło w podbiegunowej otchłani.

Nauki przyrodnicze, biorą człowieka, jak swojego; człowiek w normalnem usposobieniu nie narażałby się na tak wielkie niebezpieczeństwa, dla tak małej i niepewnej zdobyczy; trzeba istotnego powołania w duszach wybranych do tak poważnych badań. Ztąd wynika, że stosunkowo nauki te mało mają ochotników, mało są rozwinięte, a przez to samo wcale niepopularne. Wśród ciągłych przerw, jeden szczegół z drugim związać się nie da tak łatwo. Zdobycze uczonych, nieznane profanom, a ci są tak skromni, tak nieufni i mało przekonani o swej wartości, że rozpaczaliby z pewnością o sobie, gdyby im było przystępnem uczucie rozpacz.

Co chwila muszą nakreślać odpowiedź, na dręczące pytanie: „Niezbadana tajemnica!” albo „hypoteza—przypuszczenie!” Dla profanów byłaby to powiastka nęcąca, gdyby idąc drogą przypuszczeń, tworzyli sobie prawa. Uczonym, *hypoteza* na nic się nie przyda lub też nader lichy stanowi materyał, bo dla prawdy hypoteza żadnej nie ma wartości; więc też uczeni, pozbawieni tej zabawki, zatopieni są w ciężkiej pracy, im się wszystko wypowiedzieć musi liczbą lub prawdą dowiedzioną. Nagrodą ich staje się niczem nie zmaczona spokojność; nauka pochłaniająca ich w zupełności, opancerza ich przeciw wewnętrznym i zewnętrznym burzom i walkom. Nauka, opierająca się na samych pewnikach, odejmuje im wszelką chwiejność; wszystko muszą mieć oznaczone cyfrą. Wszystko dla nich musi być *pewnością*. I to daje tę ciszę wewnętrzną i tak pochłania, że się niema czasu już na nic innego, prócz pracy naukowej. Inna jest rzecz dowodzić, inna dla rzeczy dowiedzionej dobrać systematów. Najpierwszym obowiązkiem jest *dowiadzać się o prawdę*. Minęły czasy astrologii i alchemii, gdy człowiek stał w stosunku apriorystycznym do natury i mówił jej: „Daj mi pierwiastek twój, naturo! wytłómacz przyszłość!” Dziś już te mrzonki pogardą okryte. Badacz z dobrą wiarą przystępuje do natury, pyta jej: czym jest?... i słucha, nie mówiąc sobie, że *to a to* musi znaleźć koniecznie. Trzeźwość umysłu, jest pierwszym warunkiem pracy uczonego.

Historia naturalna nie tylko mało zrobiła

odkryć stosunkowo do możliwości, ale i to, co zyskane, nie jest jeszcze powszechnie wiadomem. Natura we wszystkich kierunkach podpatrywana, objawia się tak piękna, tak mądra, że gdy człowiek ją ogarnie, doznaje najwznioślejszych wrażeń zachwycenia i litości, życie mu się w artyzm układa. Żle, kiedy człowiek obojętny na to, co go otacza, ale gorzej jeszcze, kiedy nie wie o swojej ciemnocie, *kiedy nie wie, że nie wie*, kiedy się zadawał pierwszą lepszą odpowiedzią. Taki grzech powierzchownego badania rozwija przesady. Wszystko, co ludzkość ciemnieży, wypłynęło z niedokładnego albo zaniedbanego poznania natury. Postęp udoskonalenia ludzkiego się opóźnił przez ślepą wiarę w fałszywe spostrzeżenia, przez złe pojęcie spraw fizyki, astronomii. Skutkiem przesądów powstały zabobony, które od przesądów rozróżnić trzeba. Przesąd jest prawomocnym wyrokiem, na kłamliwym wywodzie opartym. Różnica koloru skóry np. wyradza przesąd przeciw Murzynom, przeciw niewolnikom.

Wspominałam, że nawet Arystoteles, ta suma rozumów starożytnych mędrców, on, który w sobie połączył Sokratesa i Platona, napisał kilka rozdziałów, w których dowodził, że niewolnik jest tem w społeczeństwie, czem ciało w człowieku: Człowiek składa się z duszy i z ciała; dusza panuje, ciało powinno mu być podległym. Za jednym fałszywym wywodem rosła przesada. Tak samo dzieje się względem innych prawd, odkryć, wynalazków; dowodem najlepszym Kopernik! Galileusz odwołać musiał swe spostrzeżenie, że ziemia ma ruch, a jednak powiadają, że niezrażony torturami, po owem odwołaniu, tupnął nogą i zawołał: „*E pur si muove!*” („a jednak się rusza!”).

Każda prawda nowa, upominająca się o wolność, bywa tępioną wszechwładzą przesądów. I dziś panują przesady, te fałszywe wcielone w prawa ludzkości.

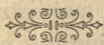
Zabobon jest więcej indywidualnem zwichnięciem rozumu i duszy skutkiem niewoli, ciemnoty; polega na zaznaczeniu fałszywej przyczyny niewłaściwemu skutkowi i przeciwnie. Wiele jest zabobonów śmiesznych, tak zwanych niewinnych; inne są szkodliwe, a o szkodliwości ich między ludem wiejskim przekonać się można najdokładniej. Z jednej zasady wychodząc, wszystkie są one grzechem przeciwko prawdzie, której lekceważyć nie wolno; grzeszy ciężko, kto jej ubliża. Wierzyć w zabobony, jest to wyrzec się prawdy. Mały szczegół może być ważnym symptomem, a negacya logiki będzie zawsze zbrodnią rozumu przeciw prawdzie.

Człowiek nie pochwylił jeszcze ładu w rozporządzeniach Bożych; rzadko wiemy, jaka przyczyna z skutkiem się łączy. Jest to rzecz życia moralnego, żeby dowieść tego moralnie, a rzecz nauk przyrodniczych, żeby oznaczyć to naukowo. Wiele się mętów rozświeci, gdy raz wiedzieć będziemy choć w przybliżeniu to, czego nie wiemy dotąd jeszcze.

Zadaniem nauk przyrodniczych jest rozbudzić cześć dla wszechrzeczy, dla ogromu; jak religia łączy nas z Bogiem, tak Go nam nauki przyrodnicze tłómaczą. One uzupełniają religię, której są treścią i dopełnieniem, bo celem ich Bóg. Zatapianie się w mistycy-

zmie natury jest niebezpieczne, a może być gorszące; ona jest tak jasną w treści i formie, że tylko idzie o ocenienie świadomości własnej w stosunku do niej, o powiedzenie stanowcze: *to wiem, tego nie wiem*.

(Dokończenie nastąpi).



Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ

(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

Stanawszy wreszcie w pierwszej połowie września z powrotem w rodzicielskim domu, przedewszystkiem przeczytał oczekujące tu już nań sprawozdania dzienników wiedeńskich o jego dwóch koncertach w Kärthnerthortheater, oraz kilka wzmianek o nich w czasopiśmie warszawskich. Gdy wyjeżdżał z Wiednia, nie mógł jeszcze ani słowa przeczytać o sobie w tamtejszych pismach. „Przykro mi, pisał nawet z tego powodu, że jeszcze żadnym dziennikiem zaświadczyć się nie mogę; wiem, że recenzja w redakcyi tego pisma, które zaprenumerowałem, a które już do Warszawy odsyłać będzie pan Bäuerle, redaktor, leży napisana. Nie wiem, może czekali drugiego wystąpienia. Wychodzi ono dwa razy na tydzień, we wtorek i w sobotę; może też wprzód ode mnie coś pomyslnego albo niepomyslnego na moją stronę czytać będziecie.”

Przewidywanie to Chopina sprawdziło się rzeczywiście: to, co o nim napisały dzienniki wiedeńskie, najprzód przeczytała jego rodzina i najbliżsi, tak, że gdy przyjechał do Warszawy, już w domu wiadano, jakie wrażenie zrobił grą swoją w Wiedniu, i jak ją ocenili tamtejsi krytycy. Jeśli nie był zupełnie pewnym swego, jeśli go chwilami dręczyły jakie obawy, że mogą o tych koncertach i „coś niepomyslnego na jego stronę” napisać, to na szczęście obawy te okazały się całkiem płonnymi. Przeciwnie, pochwały, jakie teraz, po powrocie do domu, przeczytał o sobie w pismach wiedeńskich, przeszły wszelkie oczekiwania. „Gazety wiedeńskie suto mię pochwałyły,” pisał dnia 18-go września do Wojciechowskiego, — pisząc tak, nie przechwalał się bynajmniej, lecz wiernie zdawał sprawę z tego, co o sobie przeczytał.

Najobszerniej rozpisał się o nim surowy Bäuerle w „Wiener Theater Zeitung.” Poświęciwszy każdemu z jego koncertów osobny artykuł, jeden w numerze z dnia 20-go sierpnia, drugi pod datą 1-go września, w obu postawił Chopina na wyzynie, na jakiej go dotąd nikt jeszcze w piśmie publicznym postawić się nie ośmielił. „Chopin—pisał o nim Bäuerle pod wrażeniem jego pierwszego koncertu—wprawił wszystkich w zdumienie (über-raschte), albowiem odkryto w nim nie tylko piękny, ale istotnie bardzo wybitny talent (*sehr ausgezeichnetes Talent*), któremu tak co do oryginalności gry, jak i w kompozycyi, możnaby przyznać nieco genialności (ein we-

nig Genialität), przynajmniej pod względem formy, całkiem odbiegającej od zwykłego szablonu, oraz w znaczeniu wyróżniającego się indywidualizmu. Gra jego, jak i jego kompozycye, z których na tym popisie słyszano tylko „Waryacje,” posiadają pewien charakter skromności, dzięki której młodzieniec ten wcale nie zdaje się pragnąć, ażeby wydać się świetnym (brilliren zu wollen), jakkolwiek gra jego pokonywała trudności, których przewyciężenie nawet tutaj, w tej ojczyźnie wirtuozów fortepianowych musiało uderzyć; ma się wrażenie, jakby z prawie ironiczną naiwnością starał się o to raczej, by nie tyle uprawiać muzykę, ile nią zająć szerszą publiczność. I rzeczywiście udało mu się to w zupełności, albowiem nieuprzedzona publiczność sownie go darzyła uznaniem. Uderzenie jego, jakkolwiek czyste i pewne, mało ma tej błyskotliwości, którą nasi wirtuozi zaraz w pierwszych taktach popisują się usiłując; zaznacza on ledwo, podobnie jak to czyni ktoś, co opowiada w gronie ludzi dobrze wychowanych, i obywa się bez tego retorycznego aplombu, który u wirtuozów poczytywany bywa, jako nieodzowny. Gra on zupełnie spokojnie, bez owej zuchwałej brawury, która zresztą odrazu artystę różni od dyletanta, a jednak nasza subtelna i wykwintna publiczność od pierwszej chwili poznała w tym obcym, wcale jeszcze niesławnym młodzieńcu prawdziwego artystę, i wieczór ten dostarczył bezstronnemu obserwatorowi przyjemnego widoku publiczności, która, uważana jako jednostka moralna, okazała się w poznawaniu i ocenianiu wcale nie pompatycznej, a jednak w najwyższym stopniu szlachetnej i zadawalającej produkcji artystycznej, istotnym wirtuozem, prawdziwym znawcą. W grze młodego artysty dały się zauważyć usterki, wśród których może szczególnie na podkreślenie zasługuje nieprzestrzeganie zapowiedzi rozpoczynających się okresów muzycznych przez odpowiednie zaakcentowanie. Mimo to uznano w nim artystę, po którym można sobie najpiękniejsze rzeczy obiecywać, gdy usłyszysz więcej i różnorodniejszych utworów... Jak w grze swojej okazał się niby młodem, pięknem, swobodnie wyrosłym drzewem, pełnem kwiatów wonnych i dojrzewających owoców, podobnie rozwiniął on, i jako twórca, niemniej szlachetne właściwości w swojej kompozycyi, w której wciąż spletały się i przewijały nowe figuracje, nowe pasaże, nowe formy, czy to w introdukcji, czy w pierwszej, drugiej i czwartej waryacji, czy wreszcie w końcowym Poloniezie, w jaki ostatecznie przedzierzgnął się mozartowski temat. Pełen spokoju i swobody, młody wirtuoz dał się namówić, by na zakończenie koncertu wystąpić przed publicznością naszą z improwizacją, przed tą publicznością, wobec której prócz Beethovena i Hummela tylko niewielu improwizatorów zdobyło sobie uznanie. Jeśli młodzieniec ten przez wielokrotne zmienianie tematów szczególnie starał się uwydatnić, że to poczytuje za rozrywkę, za igraszkę, to jednak, niezależnie od tego, zarówno spokojna płynność myśli, jak i pewne kojarzenie i łączenie z sobą, oraz ich piękne rozwinięcie i przeprowadzenie, mogły służyć za wystarczający dowód jego uzdol-

nienia w tym rzadkim rodzaju. Pan Chopin sprawił dziś nie zgromadzonej dość licznie publiczności tyle rozkoszy, iż rzeczywiście pragnąć musimy, by jeszcze raz dał się słyszeć wobec liczniejszego zgromadzenia...”

Niemniej pochlebnie brzmiało w tejże „Wiener Theater-Zeitung” sprawozdanie z drugiego koncertu Chopina. „Jest to młodzieniec,—głosiło ono między innemi,—idący zupełnie swoją własną drogą, na której wie, jak się podobać, jakkolwiek jego rodzaj i sposób grania znacznie się od zwykłych form koncertowych oddala, zwłaszcza pod tym względem, że nierównie bardziej i to w sposób znaczący, dba o muzykę dla muzyki samej, aniżeli o to, żeby się podobać wyłącznie, ażeby kokietować muzyką.”

W podobnym entuzjastycznym tonie wypadła krytyka, którą pomieściło czasopismo „Der Sammler.” „W panu Chopinie poznaliśmy jednego z najdoskonalszych fortepianistów, pełnego delikatności i najgłębszego uczucia.”

Do tego pochwalnego chóru przyłączyła się także i wiedeńska „Zeitschrift für Kunst, Literatur, Theater und Mode,” której sprawozdawca muzyczny i teatralny w numerze z d. 22-go sierpnia tak pisał o pierwszym koncercie Chopina: „Największe trudności pokonywał on z dokładnością i precyzją, a czystość jego pasażów jest nieskazitelna. Powodzenie, jakie sobie ten zręczny artysta zdobył, było bardzo wielkie; szczególniej podobała się jego kompozycya koncertowa z orkiestrą.” W sprawozdaniu o drugim koncercie, pomieszczonem w numerze z dnia 29-go sierpnia, pisało toż pismo, co następuje: „Pan Fryderyk Chopin wykonał nowe swej własnej kompozycyi „Rondo” fortepianowe, z akompaniamentem orkiestry. Utwór ten, trzymany całkowicie w stylu chromatycznym, mało jest przenikniony wesołością, za to obfituje w ustępy, celujące głębią i nadzwyczaj pomysłowe pod względem opłatania i spowijania motywów. W ogólności zdaje mu się brakować nieco urozmaïcenia.”

To zastrzeżenie nie przeszkodziło recenzentowi nazwać Chopina „mistrzem, który swą biegłość, jako fortepianista, okazał w stopniu doskonałym, i szczęśliwie pokonywał największe trudności.” „Dłuższy pobyt w Wiedniu nie byłby bez pożytku zarówno dla jego uderzenia, jak i dla zgrania się z orkiestrą. Powodzenie miał wielkie i był kilkakrotnie wywoływany... Na zakończenie zagrał dziś pan Chopin jeszcze swoje „Waryacje” na temat z Mozarta, które już na pierwszym koncercie tak szczęśliwie i z taką brawurą wykonał. Miła a jednak powściągliwa różnorodność tej kompozycyi, zarówno jak i piękna udatna gra zjednały i dzisiaj pianście głośny sukces. Znawcy i miłośnicy dawali mu w sposób donośny i swobodny poznać swoje uznanie dla jego artystycznie skończonej gry... Młodzieniec ten wykazuje w kompozycyi swojej poważne dążności i aspiracje, starając się nadać orkiestrze interesującą spistość z fortepianem.”

Wychodzący w Wiedniu „Allgemeiner musikalischer Anzeiger” pomieścił w n-rze 38-m z dnia 19-go września taką z powodu koncertów Chopina notatkę: „Nowem, ale bardzo

zajmującym zjawiskiem był dla muzycznego Wiednia pan Fryderyk Chopin z Warszawy. Kompozycje, biegłość, interpretacja, wszystko może być nazwane znakomitem (*vortrefflich*), to też powszechny sukces był nagrodą dla artysty.¹⁾

Z największym jednak entuzjazmem napisał o Chopinie korespondent wiedeński do lipskiej „Allgemeine Musikalische Zeitung.” Oto jego opinia: „Pan Chopin, fortepianista z Warszawy, jak mówią, uczeń Würfla, dał się nam poznać odrazu, jako mistrz pierwszorzędnego (als Meister vom ersten Range). Przedziwna delikatność jego uderzenia, nieopisana biegłość techniczna, jego doskonałe, z najgłębszego uczucia wynikające cieniowanie (*der tiefsten Empfindung abgelaushtes Nuancieren*) ciągłość i wzmaganie się tonów, rzadka jasność i przejrzystość interpretacji i jego nacechowane wzniosłą genialnością produkcje muzyczne („Waryacje” koncertowe, „Rondeau” i improwizacje) pozwalają w tym samodzielnym, tak hojnie od natury obdarzonym wirtuozie uznać artystę, który nieopierzony żadnymi fanfarami reklamy, zjawia się na muzycznym horyzoncie, jako jeden z najjaśniejszych błyszczących meteorów”¹⁾.

(Ciąg dalszy nastąpi).



SAMOTNI.



Samotnie orzeł złotopióry
W podniebne sfery płynie chłodne:
Pusto mu, smutno, za to, hardy,
Na ziemię szarą patrzy — z góry..

Samotnie brzoza tęskna, cicha,
Na niebotycznej rośnie skale:
Nie zna, czym życie ziemi — za to
Powiewem Bożych technień oddycha...

Samotnie krąży słonko jasne
Po niezgłębionym hen — lazurze:
Choć nie zna wczasu — za to chodzi
W brylantach, złocie i purpurze...

Wanda Krasuska.



Otwarcie nowego zakładu naukowego żeńskiego w Warszawie.



W dniu 10-ym b. m. o godzinie 12-iej w południe, książdz prefekt Pliszka w asystencji kanoników: Seroczyńskiego i Matuszewskiego, dokonał poświęcenia gmachu szkolnego przy ulicy Św. Barbary pod nr 4-ym, w którym mieści się zakład naukowy żeński prowadzo-

ny pod kierunkiem przełożonej, p. Stefanii Tołwińskiej i dwóch jej siostr, panien Tołwińskich.

Nie było to właściwie otwarcie zakładu nowego, lecz raczej przeniesienie pensyi, istniejącej przy ulicy Chmielnej do gmachu umyślnie na ten cel zbudowanego.

Nazwisko panien Tołwińskich jest już od szeregu lat zaszczytnie znane na polu pedagogiki i nauki.

Gmach budował brat, professor Tołwiński, z uwzględnieniem wszelkich wymagań higieny i najnowszych udogodnień — obok dobrego, a pełnego prostoty smaku, w najdrobniejszych nawet szczegółach.

Poświęcenie, poprzedzone nabożeństwem w kościele na Koszykach, miało nastrój nadzwyczaj uroczysty. Prefekt, ks. Pliszka, przemówił w gorących, serdecznych słowach, — panienki, pod dyrekcją prof. Rzepki, zaspiewały *Veni-Creator* i parę modlitw; między licznymi gośćmi nie brakło ani przełożonych zakładów innych, ani przedstawicieli pióra i prassy; a wszyscy ożywieni byli życzeniem bratniem, żeby nowy zakład niósł jak najszerszą pracę na pożytek naszego społeczeństwa.

Żałuję, że spóźniona pora i brak czasu nie pozwalają mi rozpisać się obszerniej. W naszej „Kronice działalności kobiecej” tak skrętnie notujemy wszystko, co tylko jest w tym kierunku do zaznaczenia, nawet i w odległych od nas stronach, — że gdy się czemś u nas ucieszyć możemy, radzibyśmy o tem bardziej szczegółowo opowiadać.

Obiecuję sobie powrócić jeszcze do pensyi panien Tołwińskich i czytelniczki nasze bliżej z nią zapoznać.

Z. S.



Z listów do „Bluszczu.”



Zakopane, w Sierpniu.

Przez całą wiosnę i połowę lata kłębiły się grube mgły dokoła tatrzańskich turni, chmury płakały, wicher jęczał, chłody trzęsły, jak uparta zimnica, a Zakopane nie mogło doczekać się swojego żniwa—sezonowych gości. Mała garstka tych, którzy przybywali pomimo niepogody, nie mogąc jej przeczekać—rozejżdżała się przed zamierzonym terminem, unosząc w pamięci obraz Zakopanego podobny do poleskiej wioski: mokra płaszczyzna, na niej kępami prostopadłe słupce drzew iglastych, wśród nich szare domostwa z nieciosanych bierwion i niebielonych desek, wszystko razem monotonne, posępne, zamazane tumanami, które tak gęsto przesłaniają okolną panoramę górskich widoków, że ktoś naiwny, przyjechawszy w słotny dzień, dziwił się ludzkiemu gadaniu: „bo to mówili, że niby Zakopane leży w górach, a tu panie równina, i żadnych gór ani widać”. Dopiero w ostatnich dniach lipca zawarły się upusty niebieskie, mgły się rozpełzły i na błękitnym czystym, jasnym, jak oko wymarzonem, niebie, namalowały się rozmaszyscie fioletowymi ba-

rwami łańcuchy turni skalnych, nagich, zachwałych, niebotycznych, srebrnymi pasami śniegu pręgowanych, a pod nimi wystąpiły poniżej długim pasmem, zielone garby hal, to murawą porośnięte jasno, to ciemno zadrzewione smerekami. Dopiero na tem przepięknym tle pięknie zarysowuje się samo Zakopane, na lekko falowatej równinie rozwinęte szeroka, kilkoramienna smuga, utworzona z wiejskich dworów o miejscowym stylu, nie ustawionych jednostajnymi rzędami, ale swobodnie porozrzucanych, a poprzedzielanych od siebie to kępą lasu, to płatem łąki, to strugą spienioną i gdzie niegdzie urozmaiconych wyższą, o miejskim wyglądzie budowlą.

W ślad za słońcem zjawili się i goście. Już w pierwszej połowie sierpnia było ich przeszło 4,000 osób i ożywienie tegorocznego opóźnionego sezonu dorównało normalnemu, zeszłorocznemu, z tą różnicą, że poprzednich lat więcej było przyjeżdżających na stały pobyt, niż turystów, a dziś przeciwnie, z powodu otwarcia linii kolejowej Chabówka—Zakopane, mnóstwo przelotnych ptaków przybywa na krótko, tylko dla obejrzenia cudów natury, jak przepaściste wąwozy Kościeliskie, rozchukany wodospad Siklawy, lub odległe o kilka godzin drogi Morskie Oko—ta posępna tafla czarnego kryształu, ponuremi zrębami ciemnych skał obrzeżona. Piesza droga od Morskiego do Siklawy, czy to przez kręty Zawrat, czy przez strome zbocza Miedzianej, Opalonego i Świstówki, przedstawia zachwyconemu oku wspaniałe panoramy, gdzie granitowe olbrzymy zuchwałymi łbami w strop niebieski wala, albo falami zastygłej przed stoma wiekami lawy, płyną w przestrzeń tak daleko, że na opalizującej linii widnokręgu nie można już rozróżnić gór od chmur. Zachody słońca wywołują tam czasem nieprawdopodobne efekty: bywa, że ciężka, masywna bryła Giewontu zaczyna nabierać lekkości i przejrzystości i w oczach się mieniać, zostaje pałacem z różowego kryształu, podczas gdy czarne turnie obok, literalnie zmieniają się w olbrzymie ametysty, do złudzenia przezroczyste i wyraźnie fioletowe.

Oglądanie tych cudności opłacić trzeba znacznym wydatkiem siły i zręczności, dźwigając się na wirchy, wspinając nad zlebami, czepiając się zrębów i upłazów. Sport to doskonały, ale pod warunkiem, aby się nie łączył ze zbyt dużym hazardem. Bywają ścieżyny na stromych zboczach, miejscami nie szersze chyba nad dłoń, a od zlodowaciałego śniegu oślizłe, gdzie trzeba się utrzymać w równowadze pomiędzy dwoma prawie prostopadłymi kondygnacjami turni, z których wyższa, z kruchych piargów złożona, nie dałaby oparcia chwytającej się ręce, a niższa, na gładko wypolerowana, nie zatrzymałaby nogi, gdyby mała chyba ruchu trąciła śmiałka w kierunku zsypanego o kilkaset stóp w głębi rumowiska. Po przejściu takiej ścieżki, obejrzawszy się za siebie, nie chce się oczom wierzyć, że się tam było i w myśli częstuje się siebie i swoich towarzyszy epitetem należnym ludziom, którzy bez dobrej racji ryzykują czaszkę, jakby puste pudło. Właściwie na podobnych przejściach powinno by tkwić różga z napisem „Nie wolno!” Argument to często silniejszy, niż sens własny.

¹⁾ Entuzjastyczne to sprawozdanie ukazało się dopiero w n-rze 46-ym pomienionej gazety, dnia 18-go listopada 1829-go roku. Niech przypuszcza, iż autorem jego jest F. A. Kanne. Dlaczego nie przypuścić, że wyszło ono z pod pióra Seyfrieda, który był wiedeńskim współpracownikiem lipskiej „Allg. Musik. Zeitung,” i zaprzyjaźnił się z Chopinem w czasie jego w Wiedniu pobytu?...

To też nieszczęśliwe wypadki naturalnie do rzadkości nie należą. W tym sezonie nikt się wprawdzie nie zabił, ale stoczyła się podobno w przepaść cała rodzina z przewodnikiem wraz, w sposób t. z. „szczęśliwy,” bo śmierci, ani kalectwa ciężkiego szczególnym trafem nie było.

Podobno po ukończeniu bitej drogi do Moriskiego Oka mają się zabrać do udogodnienia przystępu ku ulubionym punktom wycieczek. Niektórzy taternicy narzekają na takie zbanalizowanie dzikich piękności natury; ale z tego, co już zrobiono dla bliższych spacerów, można wróżyć, że i dalsze, przestawszy być karłowatymi, nie przestaną być romantycznymi. Pomimo tego, rozumie się, że malkontenci znajdą się i sarkać będą, tak jak znaleźli się i sarkają na zbudowanie sanatorium dla cierpiących na piersi. Na pozór słusznym się zdaje argument, że nie było potrzeby zatruwać Zakopanego gruzlicznymi lasecznikami, gdy każda inna górską miejscowość równie dobrze mogła się nadać na lecznicę dla suchotników. Ale to tylko na pozór. Bo w rzeczywistości chorzy piersiowi przyjeżdżali do Zakopanego przed zbudowaniem sanatorium i przyjeżdżaliby zawsze, wszelka kontrola i wszelkie zakazy nie na wiele przydałyby się mogły i zdrowi ryzykowaliby ułożenie się w pokoju, łóżku, pościeli zakażonych przez chorego daleko częściej niż teraz, gdy odpowiednio urządzona lecznica zgromadza chorych w jednym tylko punkcie, właściwie oczyszcza z nich Zakopane. A przytem izolacja, dezynfekcja i wszystkie odpowiednie środki umiejętnie używane w sanatorium, jako też odosobnienie jego od wszystkich willi, bo stoi zdaleka i na uboczu, daleko bardziej zabezpieczą zakopiańskich gości, niż by to mogła zrobić ich własna ostrożność względem współlokatorów, czasem jawnie, a częściej może skrycie zagrożonych lub dotkniętych jakimś piśsiowem cierpieniem.

Wewnętrzne urządzenie willi zakopiańskich jest już bardzo odmiennem od owych dawniej przez turystów wynajmowanych charakterystycznych domostw o prymitywnym wyglądzie i ładzie. Obecnie panuje w nich czystość i porządek, czasem komfort i pewna nawet elegancja, a ceny nie wygórowane, wahają się między trzema a sześcioma reńskimi dziennie za pokój, zawsze z obfitem jedzeniem, jakiego tu apetyt wywołany ruchem i powietrzem wymaga. Naturalnie i w tym względzie nie brak niezadowolenia, bo to u nas o nie chybą łatwiej, jak o surową i bezwzględną krytykę. Sądząc po naszych na każdym polu wymaganiach, myślałby kto, żeśmy tak bardzo rozpieszczeni wszelkich dóbr obfitością! W domu wprawdzie mamy już po większej części czystość i porządek i konieczną wygodę, ale daleko nam jeszcze, Bogu dzięki, od owych wymysłów komfortu, przechodzących wszelkie granice lenistwa i zniewieściałości, jakie się znajduje w wielkich miastach zachodnio-europejskich. A tymczasem wybrawszy się w podróż, wymagania nasze zwykły wzrastać odwrotnie proporcjonalnie do kwadratów z odległości od własnego śmietnika i przybywamy do krajowego uzdrowiska z wmówioną nietylko w drugich, ale nieraz i w siebie, taką dozą jaśniepańskości, że ukutych na poczekaniu, a więc często niekompe-

tentnych wymagań naszych zadowolnić nie sposób. I niechno tam wypadkiem w którym pensjonacie pociśnięty dzwonek nie zaraz zadzwoni, albo zdarzy się trochę przeciągnięta herbata, niech niewolnik kroplę uleje z podawanej na klęczkach czary, albo na wezłowi zagnie się listek róży, już wyrzekaniom niema końca, a finał ich brzmi zwykle: „niema to, jak zagraniczne bady!” Jest to rys typowo nasz; bo na przykład Niemiec z pewnością dla trochę większego komfortu do wód francuzkich nie pojedzie, skoro mu doktor powie, że jeden z jego własnych badań zawiera zupełnie te same pierwiastki lecznicze.

Pod względem towarzyskim zakopiańskie wille i pensjonaty pozostawiają wiele do życzenia; bo wyjąwszy zakłady na wielką skalę, mieszczące po kilkadziesiąt i więcej osób, są to kilkunastoosobowe kółka, zamknięte bardzo ściśle i nie dające nie tylko jakiegoś ułatwienia, ale wprost możliwości komunikowania się jednych kółek z drugimi. Nawet tuż z sobą sąsiadujące wille tworzą całkiem odrębne światki, z których każdy odrębnie wycieczkuje, tańczy, sportuje i flirtuje, a w skutek takiego zasklepienia: popierwsze młodzież za mało ma wyboru w tem, czego w granicach przyzwoitości jak kawaler, tak panna poszukiwać ma prawo, po drugie zaś, niejednokrotnie wytwarza się pewien rodzaj parafrasej koteryjności, drobiazgowość nowinkarstwa, stronicze ploteczki i tym podobne właściwości stosunków zamkniętych w ciasnych ramach. Wogóle od pewnego czasu pojawiła się u nas dążność do rozbijania się na kupki, stawiające na miejscu dawnej szerokiej gościnności, coraz ciaśniejszą kółczkową wyłączość. Powinnoby przecież być inaczej, przynajmniej w takich punktach zbornych, jak krajowe uzdrowiska w ogóle, a już w szczególności także Zakopane, to rendez-vous naszego kulturowego świata, dające sposobność skupiania się, porozumiewania i solidaryzowania.

Natomiast nie brak tu rozrywek bardziej publicznej natury: koncerty, odczyty, przedstawienia teatralne, wszystko prawie firmowe, w wyborowym gatunku, ale pomimo tego, niezbyt uczęszczane, bo tutejsze great attraction to wycieczki i tylko wycieczki. Na tych wycieczkach inteligencji zbliżają się nie tylko z naturą, ale i z dziećmi natury — góralami. Setki woźniców, dziesiątki przewodników, spędzając dnie całe z turystami, razem z nimi siedząc, jedząc i gawędząc, bezwiednie oddziałują na nich dodatnio swoim hardem pocuciem godności ludzkiej, swoją dobroduszną prostotą, swoją pięknie archaiczną mową. Opowiadano mi, że niektórzy goście, przeważnie wielkomiejscy, wywdzięczają się im za to, częstując ich koniakiem i ucząc kawiarzanych kupletów. Milejby temu nie wierzyć, albo myśleć, że takie wszczepianie zabójczych bakcyllów w zdrowy organizm należy do bardzo wyjątkowych występów.

Zdarzyła się także rzecz należąca do wyjątkowych wybryków: panna ze sfery inteligentnej wyszła za górala-przewodnika. Pan młody wniósł do spółki życiowej ogniste oczy, suto haftowaną gunię i orle pióro u kapelusza, panna młoda zapewne sporą dozę egzaltacji ze specjalną marką, zapożyczoną z „We-

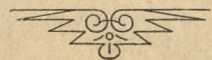
sela” Wyspiańskiego (akt pierwszy); ciekawa rzecz, jakie owoce wyrosną z tego zaszczerpienia gruszkowej płonki na wierzbowym pieńku?

Śliczną odmianę zbliżenia się sfer wyższych do niższych oglądać można w zakopiańskich „Kuźnicach.” W Zakładzie ufundowanym przez matkę właściciela Zakopanego, generałową Zamoyską, a dyrygowanym osobiście przez nią i jej córkę, gdzie nabywają tak praktycznych, jak teoretycznych wiadomości ze wszelkich zakresów gospodarstwa kobiecego, jednocześnie dziewczęta ze sfer niższych, panienki szlacheckie i panny z arystokratycznych domów, widzi się ściśle zbratanie osób intelligentnych i wykształconych z przedstawicielkami szarego tłumu. Tłem tego zbratania — nie rozbijała egzaltacja, tylko realny pożytek społeczny, cementem jego — miłość podniosłych ideałów, a celem — skierowanie kobiety naszej ze wszystkich sfer ku umiejętniej, a odpowiedniej do stanowiska każdej z nich pracy w rodzinie czy po za rodziną, pracy nietylko mechanicznej, ale i duchowej, pracy dorzucającej szelągki swoje do ogólnej skarbnicy dóbr naszych, materyalnych tak, jak moralnych.

Bardzo dobrze prowadzonymi i dobre dającymi rezultaty są zakłady z zakresu zastosowania „umnictwa piękna” (jak trafnie Libelt nazwał estetykę), do przedmiotów zwyczajnego użytku. Są to szkoły: *koronkarstwa*, gdzie wyrabiają się koronki od grubych do wykwiutnych i *przemysłu drzewnego*. Ta ostatnia ma poważne znaczenie, ponieważ stanowi nieposledni dział (stolarstwo, tokarstwo, ornamentacja kościelna i świecka, snycerstwo i rzeźbiarstwo) nowej sztuki, tej, która w swojej postępowej ewolucji wykluwa się obecnie z wielce obiecującej chryzalidy, a z której rozwinie się prawdopodobnie piękny motyl: styl zakopiański.

Tak! *zakopiański*, nie *zakopiański*, jak chcą koniecznie narzucić zakopańczykom Warszawiacy. Kuja nawet pseudo-gramatyczne teoryjki, mające ich przekonać, że przymiotnik urobiony w duchu języka i mający wiekowe prawo obywatelstwa jest nieprawidłowym, a jako decydujący argument przytaczają niektórzy, że się mówi *Warszawianka*, nie *Warszawianka*. Można by na to odpowiedzieć, że tu wstawne i jest na swoim miejscu, bo nie wciska się bez racji w temat wyrazu, jak w *zakopiańskim*, tylko końcówkę zmiękcza, jak w *peruwiańskim* lub *niebiańskim*, i że, gdyby miasto nazywało się *Warszawana*, mieszkanka jego napewno byłaby *Warszawanką*. Ale lepiej nie wywoływać wilka z lasu, bo u nas zwykle polemika na tle gramatycznym, zamiast konsekwentnych wniosków, wysuniętych z racjonalnych przesłanek, daje tylko utarte, choć bezpodstawne oklepanki, (które zwolennicy *zakopiańszczyzny* konsekwentnie nazywać winni *oklepankami*).

J. T.



JARMARK JESIENNY

na rzecz

Kassy pomocy dla kobiet pracujących.



Młoda a wielce żywotna i pożyteczna instytucja, chcąc przyjść w pomoc liczny swoim uczestniczkom i dać im możność łatwiejszego zbycia nagromadzonych przedmiotów, z pracy ich rąk powstałych, wystąpiła z rodzajem nowej zabawy, którą nazwała „jarmarkiem jesiennym.”

Otwarty przez protektorkę Kassy, Annę hr. Ksawerową Branicką, zorganizowany, urządzony usilnem i niestrudżonem staraniem członkini-sekretarki, p. Maryi Małkowskiej, której dzielnie dopomagała p. Leopoldyna Skwarecka, jarmark wykazał dowodnie, jak szeroki zakres działania zdążyła już objąć od niedawnego czasu istniejąca, zacna instytucja.

Chętnych w dopomożeniu do dobrego celu jakoś u nas, dzięki Bogu, nie braknie, rozmaite firmy pospieszyły z czynnym udziałem ku uzupełnieniu jarmarku i wszystkie miejsca, przeznaczone na „pawilony” jarmarczne, zostały wkrótce zajęte.

Przyjemna to, zaiste, nader przyjemna rzecz dla sprawozdawcy, głoszenie pochwał i wyrazów szczerzego, rzetelnego uznania. Jarmark, obejrzany od końca do końca dostarcza mi onej przyjemności obficie.

Na wprost wejścia rozbiła namiot p. Mirosławska, właściwie w pawilonie większym urządziła oddzielny, odrębny kącik. P. Mirosławska za dobrze znaną jest z licznych prac swoich, za bardzo cenioną w kołach artystycznych, oraz przez poważny zastęp swych uczennic, abym czytelniczki moje zaznajamiać potrzebowała z jej szeroko rozwiniętą działalnością, tak na polu czystej, jako i stosowanej sztuki.

Pawilon, czy tam, jak go na jarmarku nazywano, „grota” p. Mirosławskiej, to prawdziwy salon artystyczny. Nagromadzone tam przedmioty, od rzeczy większej, kilkuset rublowej wartości, do drobiazgów, sprzedawanych za kopiejki, rozmieszczone były z takim smakiem, iż całość sprawiała wrażenie salonu artystycznego, ustrojonego w zieleń i kwiaty.

Wielką ozdobą tego wytwornego kącika były trzy akwarelle artysty-malarza Dymitrowicza, przedstawiające wnętrza: kościoła Maryackiego i kościoła w Częstochowie. Za temi, jako przedmioty większej wartości, szły bardzo piękne *panneaux* dekoracyjne panien: Meyerówny, Jastrzębowskiej i Piechowskiej, studia z natury p. Bentkowskiej, szkice Łukaszczyka i kilka główek Osińskiego.

A sztuka stosowana? Niepodobna byłoby tu wyszczególniać rozlicznych z tego działu przedmiotów, wspomnę jeszcze tylko o bardzo pięknym hafcie panny Dukath, przedstawiającym Sobieskiego na koniu, o tem, że dobór i układ najskromniejszych nawet drobiazgów przykuwał każdego, że karty pocztowe ze scenami z jarmarku (pomysł p. Mir.) ogromne miały powodzenie i że tłumno zawsze było w tym artystycznym zakątku, gdzie prócz p. Mirosławskiej gospodarzyły: Hajota i p. Kaź. Hartingowa.

Tuż obok rozgościła się siostra Julia z wyrobami, wykonanemi w zakładzie św. Stanisława Kostki, wpośród których nie brakło bardzo pięknych i kunsztownych, jak koronki *fil-et-guipurc*, ozdobne pasy na stół i t. p. Ograniczam się na tej krótkiej wzmiance, ponieważ zamierzam wkrótce poświęcić osobny artykuł schronieniu św. Stanisława, założonemu, wzniesionemu i utrzymanemu zabiegami zacnej siostry Julii.

Pod tym samym dachem, nieopodal „salonu” p. Mirosławskiej, wznosił się kiosk pani Leopoldyny Skwareckiej.

P. Skwarecka od lat 15-tu posiada w Warszawie, przy placu św. Alexandra, szkołę kroju i szycia i sumiennie zapewnić mogę, iż nauka w niej prowadzona jest wzorowo. Dyplomy, uzyskane przez p. Skwarecką w Paryżu i Wiedniu, poświadczone przez pierwszorzędną, fachową, długoletnią jej praktykę i ciągle dążenie do doskonalenia się w obranym zawodzie, dostateczną są rękojmią gruntownej znajomości rzeczy.

P. Skwarecka, chcąc naukę kroju zastosować praktycznie do potrzeb różnej miary, podzieliła ją na kilka kursów. Jedne obejmują dłuższy, drugie krótszy przeciąg czasu—w jednych traktowane są szczegółowo wszystkie specjalności, w drugich można wybrać tylko te, które w danych warunkach przydatne być mogą.

Trudno w sprawozdaniu niniejszem powtórzyć program cały, wyszczególnić wszystkie wzory i treść dyplomów pięknie w kiosku poukładanych, dodam tylko, że wiele uczennic p. Skwareckiej pracuje dziś z powodzeniem na polu krawiecczyni damskiej, i że w córce swej, która też kurs nauki kroju przebyła w Paryżu, p. Skwarecka najpierwszą ma pomocnicę.

W pobliżu, sporo miejsca zajęła chata wieśniacza, jedna z ponęt dla gawiedzi. Bo czegoż tam nie było! — iście jak na jarmarku. I słodycze, i obwarzanki, i ciasta, i wędliny, i owoce,— a przedewszystkiem cztery panienki, przebrane za wieśniaczki i jeden młodzian w ubraniu chłopcy willanowskiego.

Dalej w ogródku, panny: Małkowska i Skwarecka, kiosk, przeznaczony na sprzedaż papierosów, ozdobiły w oryginalny sposób, motywami, malowanymi na płótnie.

Długi budynek pomieścił aż dziesięć pawilonów, słownie przy pomocy wielkiej ilości kwiatów, w rodzaju łoż urządzonych. Na wprost wejścia do owego budynku mieścił się „pawilon Kassy,” w którym sprzedawano wyroby uczestniczek przy współudziale prezowej, p. Kryżowej. Były tam przedmioty nadzwyczaj skromne, do użytku codziennego służące: fartuszki po 50 kop., pończoszki bardzo tanie, bielizna więcej lub mniej ozdobna, kołnierze, kaftany; lecz były i koronki (głównie *point-lacé*) delikatne, hafty, rzeczy malowane na materji, i tysiączne eleganckie drobiazgi. Rozmaitością i obfitością wyrobów „Kassa” przedstawiała się nader poważnie.

Na prawo od pawilonu kassowego mieściły się pawilony firm, które hojnym rabatem pragnęły przyczynić dochodu zacnej instytucji. A więc: perfumerya Pulsa, książki Gebethnera i Wolffa i cukierki zjednoczonych cukierników: Bliklego, Zawistowskiego i Górskich.

Lewą stronę budynku zajęły:

1) Pani Rodkiewiczowa. Pawilon z wyrobami z gliny lepieniem w swojskim stylu, wyrabianemi ręcznie, bądź to kolorowanymi i polerowanymi, bądź wypalanymi na surowo. Życzymy p. Rodkiewiczowej dalszego rozwoju w tej fabrykacji, albowiem początek przedstawił się bardzo obiecująco.

2) Pani Kossobudzka: Pawilon z gorsetami. Tu znowu dłuższą zabawimy chwilę, bo to, co u p. Kossobudzkiej oglądałam, wyróżnia się rzeczywiście od wielu fabrykacji na tem polu u nas. Wykończenie wykwiłtne, materiały w wyborze obfitym, ceny bardzo przystępne, a przytem krój nietylko najnowszy, najmodniejszy, czerpany z modeli, sprowadzanych z najpierwszych domów paryżskich, lecz nadto, uwzględniający warunki higieny i najkapryśniejsze nawyki klientki. Bardzo wygodnymi, a do tego nadzwyczaj zręczną czyniacemi figurę, zwłaszcza dla osób szczupłych, są tak zwane „pasy” (*ceintures*), nie uciskające ani żołądka, ani klatki piersiowej. P. Kossobudzka przedstawiła mi je w tylu odmianach, że chyba niema wymagań, któreby jej sprawić mogły jakakolwiek trudność.

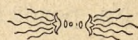
3) Pawilon z ciemnikami. Bardzo ładny, pełen jakby różnobarwnych kwiatów i motyli, które dla sprzedających pań bardzo wdzięczne tło stanowiły. Szkoda, że ukryte było nazwisko osoby, do której pawilon ten należał.

4) Pawilon z drobnymi i bardzo tanimi wyrobami ze szkła

i 5) Pawilon z papierem listowym p. Pigłowskiej. Papier nie był wprawdzie przedmiotem ruchliwego handlu, lecz za to przy kartach pocztowych, których w pawilonie p. Pigłowskiej była moc ogromna, panował ruch, jak na prawdziwy jarmark przystało.

I co więcej? Dochody jakie takie, wielka siła dobrych chęci, nieprzebrana gorliwość w spełnianiu zacnego uczynku i niesieniu pomocy prawdziwie potrzebującemu — no, i otucha, że da Bóg, będzie dobrze.

Zofia Seidlerowa.



Kronika działalności kobiecej.



— W Galicyi uchwałą sejmu zatwierdzone zostało, iż kobiety mogą obejmować posady państwowe: sekretarzy, kassyerów, kontrolerów i t. p., na równych prawach z mężczyznami, pod warunkiem tylko, aby składały egzamin z odpowiednich kwalifikacji.

— Pierwsze gimnazjum realne dla dziewcząt zostało otwarte w Niemczech, w Schönebergu. Ukończenie sześciu klas tego gimnazjum (do którego wstępują panienki odpowiednio przygotowane), ułatwia w zupełności uczęszczanie do Uniwersytetu. Program wyższego, realnego gimnazjum dlatego został wybrany, że wykluczając język grecki, a nie wykluczając łaciny, bardziej odpowiada podstawowemu wykształceniu kobiet, dla których pola: prawnicze i teologiczne są zamknięte, medycyna zaś i inne nauki stoją otworem.

— Pani Norman E. Mack z Buffalo, została członkiem komisji, urządzającej międzynarodową wystawę w St-Louis. Pani Mack była już członkiem komisji przy wystawie panamo-amerykańskiej i zasłużyła sobie na gorące i trwałe uznanie.

— Córka tureckiego historyka Dzeodetapasz, Fatma-Allie-Hamun, nietylko udatnemi poezjami swemi zdobyła imię głośnie i zasłużone wśród kobiet tureckich, lecz dała się też poznać, jako energiczna przywódczyni ruchu kobiecego w Turcyi. Artykuły jej, pojawiające się w różnych pismach, zwróciły na nią powszechną uwagę.

Z. S.

— Ameryka północna uważana jest za Eldorado dla kobiet: możnaby sądzić, że Stany Zjednoczone bardziej od innych krajów popierają prawa kobiet do głosowania powszechnego. To też ze zdziwieniem czytamy broszurę, wydaną przez „Illinois Association,” a wykazującą, że wśród obywaterek Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki wieje prąd przeciwny owym domaganiom i że kobiety występują energicznie przeciw głosowaniu kobiet. Ów prąd objawił się już przed laty 30. W r. 1870-ym żona admirała Dahlgren wystąpiła z protestem przeciwko dopuszczeniu kobiet do głosowania. Protest, zaopatrzony w 15,000 podpisów kobiecych, został przesłany Kongresowi w Waszyngtonie. W pierwszych latach ósmego dziesiątka w. XIX-go kilkanaście dam z Bostonu, utworzyło związek, przeciwdziałający kobiecym aspiracjom do prawa głosu. Związek rozszerzył się i wzmoenił dużem uczestnictwem kobiet. Ze były one nieprzychylnie domaganiom się o prawo głosu, świadczy najlepiej fakt, iż gdy w roku

1895-ym władze w Massachussets dla rozstrzygnięcia tej kwestyi, poddały ją ogólnemu głosowaniu (przyczem dopuszczeni byli do głosu mężczyźni), 4 procent wotujących kobiet oświadczyło się *przeciw* prawom swojej płci do głosu.

W maju tegoż roku zwolenniczki owego prądu utworzyły „Woman's National Suffrage Association” („Narodowy związek głosowania kobiet”). W czerwcu utworzyło się takie same Towarzystwo w Massachussets; w kwietniu r. 1896-go powstało w New-Yorku Stowarzyszenie, zwalczające dążenia kobiet do prawa głosu, wpisało się do niego 20,000 kobiet różnych stanów. Rzeczniczki praw kobiecych, wyparte ze swych posterunków na wschodzie, poczęły rozwijać działalność w Stanach zachodnich; ale i tu spotykały się z kontr-agitacją. W maju 1897-go r. utworzyła się w Chicago t. zw. „Illinois Association,” zwalczająca prądy postępowe. To Stowarzyszenie zyskiwało dużo zwolenniczek za pomocą propagandy ustnej i piśmiennej. Według twierdzenia autora broszury, z której czerpiemy te szczegóły, 1) liczba kobiet, pragnących uzyskać głosy, jest daleko mniejsza, niż ludzie sądzą, 2) nawet rzeczniczki prawa kobiet do głosu przyznają, że tam, gdzie domaganiom ich stało się zadość, rezultat jest gorszy, niż można było przypuszczać. Nie występując bynajmniej przeciw prawom kobiet, których pismo nasze jest rzecznikiem, przytaczamy ciekawe, bądź co bądź, dane, zawarte w owej broszurze, z obowiązku sprawozdawczego jedynie.

— O szkole dla kobiet w Belgii czytamy ciekawe szczegóły we francuzkiem czasopiśmie „Cahiers feministes.” Nauka odbywa się w niej trzy razy tygodniowo, od 8-jej do 10-jej wieczorem. Na wykłady uczęszcza z górą sto uczennice, w wieku od lat 13 do 70. Niektóre pracują po dwanaście godzin, a jednak znajdują czas i ochotę, aby się kształcić. W szkole uczą się czytać, pisać, geografii, rachunków, prowadzenia ksiąg, gospodarstwa domowego, higieny, cerowania, łatania. Szkoła jest podzielona na trzy klasy, każda nauczycielka zajmuje się 20-tu uczennicami. Uczennice płacą po 25 centymów (około 10 kop.) tygodniowo do wspólnej kasy, którą zarządzają same. W końcu roku najlepsze uczennice otrzymują od gminy książeczki kasy oszczędności na 2—5 franków. Dużo uczennic uczęszcza dwa razy tygodniowo na kursy wieczorne (od 5-jej do 8-jej), gdzie się uczą gotować, prać, prasować i naprawiać bieliznę.

— Pani Armour z Sierra-County, w Nowym-Meksyku, obrała sobie nowy zawód, nie-

uprawiany jeszcze przez kobiety. W roku 1899-ym, zostawszy wdową z sześciorgiem dzieci bez środków do życia, szukała dla siebie zajęcia. Przypadkowo na jarmarku zobaczyła stado, złożone z 90 kóz angorskich, nie znajdujące nabywcę, albowiem wszyscy woleli kupować bydło. Pani Armour zaproponowała właścicielowi, że połowę tego stada weźmie na kredyt, a po roku podzieli się z nim zyskiem; przystał on na to. Energiczna kobieta podążyła w góry z dziećmi i stadem, osiedliła się na wysokości 6,000 stóp, gdzie rosły dęby karłowate, tam nie potrzebowała się troszczyć ani o paszę, ani o schronienie dla swej trzody. Pod koniec roku mogła ją pomnożyć i stanąć o własnych siłach. Obecnie ma 20-tu pasterzy, środki pozwalają jej kształcić dzieci. Najstarszy syn studjuje prawo, córki są umieszczone w pierwszorzędnych zakładach naukowych.

— Szkołę, kształcącą nauczycielki gimnastyki, otworzyła niedawno w Londynie panna Wilke. Uczennice jej liczą od lat 18 do 25. Nauczycielki gimnastyki są obecnie tak poszukiwane w Anglii, że otrzymują po 100 funtów (1,000 rubli) i więcej rocznej pensyi, gdy znają dobrze swój fach.

— Kongres akuszerok odbywał się od 2-go do 10-go b. m. w Sztutgarcie. Obradowano nad podniesieniem ogólnego wykształcenia i wiadomości fachowych, oraz nad wzmocnieniem poczucia odpowiedzialności wśród kobiet, poświęcających się akuszerii. Rozwija w nich te dążenia czasopismo im specjalnie poświęcone, a wychodzące w Sztutgarcie. Kongresy akuszerok niemieckich odbywają się co lat dziesięć. Jest to trzeci z rzędu.

— Trzy kobiety w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki są członkami ciała naukowego w Uniwersytecie Bostońskim. Dr Sara Sweet jest profesorem okulistyki, dr Buchmann-Caleil—ginekologii, dr Marta Coon ma wykłady o morfologii zwierząt.

— Związek telefonistek w Utrechcie na ogólnem zgromadzeniu postanowił utworzyć fundusz, umożliwiający jego uczestniczkom poznawanie obcych języków, tak potrzebne w ich zawodzie.

— Związek kobiet w Peszcie założył szkołę dla szwaczek, w której, oprócz wiadomości praktycznych, będą się uczyły rysunku, modelatury i zdobywać elementarne pojęcia o harmonii barw. Szkoła została otwarta w dniu 1-ym b. m.

— Panna Rina Martis, została powołana na profesora anatomii w Uniwersytecie medyolańskim.

— Pani Abbie Dackson od lat trzydziestu pełni w Bostonie obowiązki policyantki. W ciągu swej działalności zdołała nawrócić na drogę cnoty 20,000 zbłąkanych moralnie dziewcząt. Cieszy się wielkim szacunkiem przełożonych i kolegów, którzy ją nazywają „Matką Dack.”

cz.



OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał przyszedł.

Zwracamy przytem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracyi „Bluszezu” (Ś-to-Krzyzka, 11).

Treść numeru:

Po wakacjach, przez W.—Przystań, powieść współczesna, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Na zgon Henryka Siemiradzkiego (wiersz), przez Zygmunta Różyckiego. — Nasz kwestyonaryusz paniński. — Pogadanki pedagogiczne Narcezy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Samotni (wiersz), przez W. Krasuską. — Otwarcie nowego zakładu żeńskiego w Warszawie, przez Z. S. — Z listów do „Bluszezu” z Zakopanego, przez Julię Terpilowską. — Jarmark jesienny na rzecz Kasy pomocy dla kobiet pracujących, przez Zofię Seidlerową. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. i cz. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz drugi powieści Dymitra Mereżkowskiego p. t. „Zmartwychwstanie Bogów” (Leonard da Vinci), w przekładzie E. Żmijewskiej.

Dodatek: do n-ru 36-go: Opis ubiorów i robót (rycin 24). — Przepisy kuchenne, — do n-ru 37-go: Opis ubiorów i robót (rycin 24). — Przepisy kuchenne.

— Do numeru bieżącego dołącza się prospekt wydawnictwa dla dzieci p. t. „Moje pisemko.”

EDELWEISS DE LA TZARINE

Essencya, Mydło, Puder ryżowy, Woda i t. p. i t. p.
Victor Vaissier, Perfumerya w Paryżu, wynalazca mydła Congo Imperial.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie GOLCZEWSKIEJ

Święto-Krzyzka 44.
Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

GRONKIEWICZ Królewska 5.

Telefon 1758—w Warszawie.
Poleca osoby pracujące w dziale Nauki Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa i Różne, tylko z dobrymi poufnie sprawdzonymi referencyami.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii
**BRONZY, ALBUMY,
NESESERY,
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.**

SZKOŁA KROJU i SZYCIA M. MACIEJOWSKIEJ

Z PENSYONATEM

Nauka prowadzona na wzór pierwszej Szkoły Paryzkiej p. Abila Goubaud.

NOWY-ŚWIAT 18, d. J. W. Hr. Branickiego.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

Emilji Ehrenkreutz

w Warszawie Zgoda 3, Chmielna 24.

Krój Paryzki. System Worth'a. Patenty

cechowe. Pensjonat.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.

Album
Sztuki
Polskiej

Cena w oprawie Rb. 12.



Towarzystwo Udoskonalonej
PERFUMERJI

A. RALLE i S-ka

DOSTAWCY DWORU w MOSKWIE.

Oddział Warszawski

ul. WIERZBOWA 7. TELEFON 1129.

Polecają Ostatnie nowości, Perfum,
Mydła i Wody Kolońskiej.

Wrzos
Trzęśle
Champacca
Violette des Bois
Chrysanthème.

Dostać można w Perfumeryach i Składach aptecznych.

TO ON!

Znowu powrócił po dwóch miesiącach z Ameryki i głównych miast Europy.

KTO?

Powszechnie znany, a przez klientów oczekiwany

Jan IDZIKOWSKI, Fotograf

Erywańska 14, w Warszawie.

Mam zaszczyt zawiadomić szanowną publiczność, że przy istniejącej **SPECJALNEJ FABRYCE LUSTER**

pod firmą

LEOPOLD IDELSACK

Warszawa. 1, Bielańska 1.

otworzony został
bogato assortowany **Skład Mebli**
stylowych, artystycznych i różnych.

PRACOWNIA KÓŁDER
MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.
Ceny przystępne.



Linoleum rolowe
Linoleum chodniki
Linoleum dywany

poleca **Juljan Meisel**

WARSZAWA. **SENATORSKA 22**, Telefon 964

NALEWKI 16, „ 965

ŁÓDŹ. PIOTRKOWSKA 49, „ 60

Wyłączny przedstawiciel Towarzystwa Prowodnik.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ**
Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 od d. 15 sierpnia, egzaminy dla nowostępujących d. 13 września.

Wykłady rozpoczną się d. 15 Września.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 sierpnia.

Magazyn Towarów Bławatnych

B. Sulikowskiego

WARSZAWA. Ul. Czysta 6.

poleca w wielkim wyborze

Nowości Jesienne

na suknie i kostiumy.

Próby na żądanie gratis i franco.

Trzy dyplomy zasługi — Cztery medale złote
i 14 srebrnych

dobra PRAŻMÓW

Telegraf i poczta GRÓJEC (gub. warszawska).

HODOWLA TRZODY ANGIELSKIEJ, WIELKIEJ, BIAŁEJ, CZYSTEJ KRWI

ORAZ

PTACTWA DOMOWEGO RASOWEGO.

Hodowczyni *Izabella Ryx.*

Wydawca: *Piotr Laskauer.* — Redaktor: *Marian Gawalewicz.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Августа 1902 г.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyzka 11.